NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7 Nr TEL 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

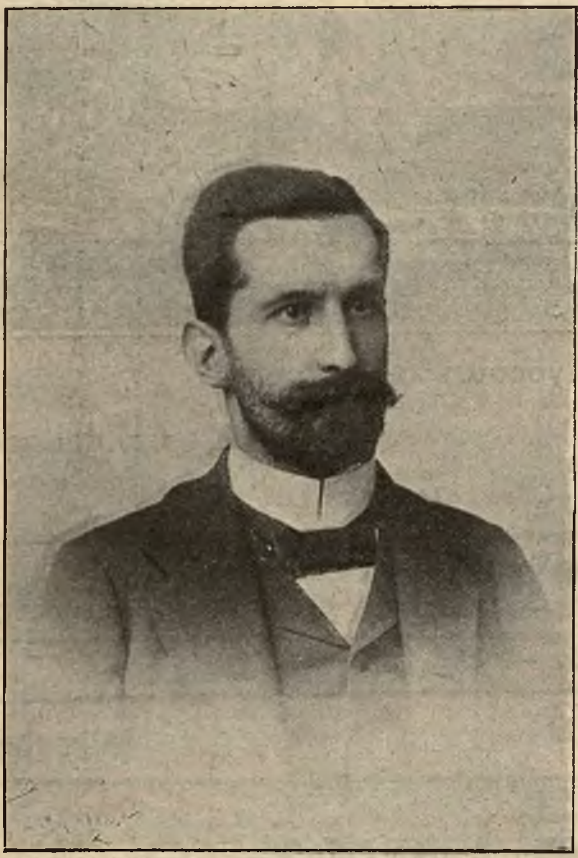
Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 4 kwietnia 1908 Nr. 14.

Sensacyjne samobójstwo we Lwowie. (Treść na str. 2



Treść numeru: Nowy dramat historyczny. — Zamach na profesora. — Skombinoway latawiec. — Książęca gaża diwy operetkowej. — Olbrzymi wyścig. — Śmierć szefa żandarmeryi macedońskiej. — Smutny koniec śpiewaka. — Cesarz Wilhelm II. w Wenecyi. — Kobieta reporter. — Strejk dziennikarzy berlińskich. — Otwarcie ruchu tramwajów elektrycznych w Warszawie. — Wybory do Rady miejskiej we Lwowie. — Samobójstwo profesora politechniki. — Zgon zasłużonego przyrodnika. — Skon młodego lekarza. — Nowy prezes czeskiej Akademii Umiejętności. — Polscy robotnicy we Francyi. — Małżeństwo księcia włoskiego z milionerką amerykańską. — Król oszustów francuskich itd.



Fot. Seebald, Kraków.

Skon młodego lekarza: Śp. dr. Józef Zoll.

Sensacyjne samobójstwo we Lwowie.

(Do illustracyi tytułowej)

Ogromnie silne wrażenie wywołało w całym Lwowie sensacyjne samobójstwo bar. Fryderyka Ehrenburga, który przybywszy tam w czwartek ubiegłego tygodnia z Kijowa, najbliższej nocy rzucił się z trzeciego piętra hotelu Żorża na bruk ulicy i poniósł śmierć na miejscu. W chwili, gdy ciało bar. Ehrenburga z całą siłą padło na ulicę Akademicką, przechodzili tamtędy archiwaryusz miejski dr. Czołowski, adwokat dr. Szeliga i lekarz dr. Kikinger. Oni też pierwsi straszną śmierć samobójcy stwierdzili i zawiadomili o wypadku zarząd hotelu.

Nieco szczegółów, odnoszących się do osoby samobójcy, wskazał zostawiony przezeń w pokoju hotelowym paszport. Dowiedziano się stamtąd o jego imieniu, o nazwisku, oraz roku urodzenia, nadto że mieszkał stale w Wiedniu, a w ostatnich dniach bawił w interesach finansowych w Kijowie i stamtąd właśnie wracał. Bar. Ehrenburg pozostawił prócz tego kartkę a na niej niewyraźnie wypisane te słowa: „Przysięgam na Boga, że jestem niewinny, padłem ofiarą rosyjskiego prystawa, sam nie wiedząc, o co chodzi..." oraz jeszcze parę nieczytelnych słów, wreszcie uwaga, że bliższe szczegóły zawarte są w czarnej torbie.

W słowach tych, oraz w papierach, ukrytych w owej czarnej torbie, szukać należało wyjaśnienia przyczyn tragicznego skonu bar. Ehrenburga. Zbadaniem całej tajemniczej historyi zajęła się niezwłocznie policya, dotąd jednak, brak ostatecznie i jasno sformułowanych wyników dochodzeń i powody samobójstwa okryte są dotąd tajemnicą.

Skon młodego lekarza.

W Clavadel, w Szwajcaryi, zmarł po całorocznej, ciężkiej chorobie piersiowej jeden z młodszych, ale najzdolniejszych lekarzy krakowskich, ś. p. dr. Józef Zoll, syn radcy dworu dr. Fryderyka Zolla.

Ś. p. dr. Józef, urodzony i wychowany w Krakowie, tu ukończył nauki gimnazyalne oraz wydział lekarski wszechnicy Jagiellońskiej. Rozpocząwszy następnie praktykę, dał się poznać jako bardzo zdolny lekarz, został też wkrótce powołany na lekarza kolejowego. A kiedy zmarł dr. L Wiszniewski, objął stanowisko naczelnego lekarza dyrekcyi kolei państwowych w Krakowie. Po za tem pracował ś. p. dr. Zoll jako lekarz sądowy.

Dowodem uznania i sympatyi, jaką ś. p. dr. Józef Zoll cieszył się wśród kolegów, był wybór jego na prezesa tow. lekarzy kolejowych zachodniej Galicyi. Organizacyą tą kierował zmarły lekarz przez kilka lat z wielkim zapałem i energią.

Niestety ciężka choroba płuc, na którą młody lekarz zapadł, przecięła wcześnie życie i działalność jego. Mimo serdecznej, troskliwej opieki, jaką go rodzina i lekarze koledzy otoczyli, mimo wyjazdu na południe, straszna choroba czyniła szybko postępy i wreszcie zmogła organizm chorego. Pogrzeb ś. p. Zolla odbył się w środę w Krakowie.

Nowy prezes czeskiej Akademii Umiejętności.

Osieroconą przez śmierć Józefa Hlavki godność prezesa czeskiej Akademii Umiejętności w Pradze ofiarowano jednemu z najwybitniejszych uczonych czeskich, dr. Antoniemu Randzie, znakomitemu znawcy prawa i profesorowi tego przedmiotu, autorowi cennych dzieł naukowych oraz b. ministrowi-rodakowi.

Wybór dr. Randy na prezesa tej najwyższej instytucyi naukowej czeskiej powitać należy z pełnem uznaniem, padł bowiem na męża nietylko wysokiej, niepospolitej wiedzy, ale i polityka pierwszorzędnego, wielkiego patryotę i zasłużonego obywatela kraju.



Nowy prezes czeskiej Akademii Umiejętności: Dr. Antoni Randa.

Polscy robotnicy we Francyi.

Bojkot junkrów pruskich, zainicyowany dość szczęśliwie w tym roku, przybiera coraz większe rozmiary, w następstwie czego zmniejsza się wychodźtwo robotników rolnych z Galicyi do Prus, a organizacye pośrednictwa pracy wyszukują coraz nowe miejsca, dokąd całe grupy robotników naszych wyjeżdżają na sezon robót polnych.

Z inicyatywy posła sejmowego Wiktora Skołyszewskiego nawiązano niedawno stosunki z Francyą na bardzo korzystnych warunkach i poważna partya robotników galicyjskich, w liczbie przeszło



Aparatem redakcyjnym W. Lis.

Polscy robotnicy we Francyi: Grupa robotników polskich na dworcu kolej. w Krakowie, przed odjazdem na roboty do Francyi.

600, wyjechała w ubiegłą niedzielę do Nancy. P. Skołyszewski otrzymał zamówienie za pośrednictwem *Societé central d'Agriculture*, przeważnie na robotników rolnych do małych gospodarstw wiejskich, oraz w części do winnic.

Wedle kontraktów, tu zawartych, pobierać będą robotnicy nasi, o ile pozostaną rok cały, a takich było najwięcej, 300—500 franków rocznie, oraz utrzymanie i mieszkanie. Wikt składa się z 4 posiłków dziennie, w tem mięso sześć razy tygodniowo, oraz codziennie pół litra wina na obiad.

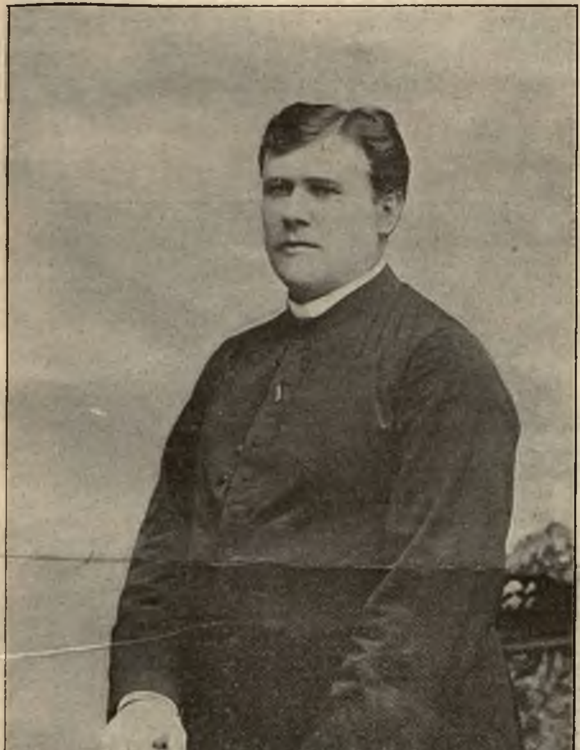


Małżeństwo księcia włoskiego z milionerką amerykańską: Książę Ludwik Sabaudzki, ks. Abruzzów.

Robotnicy zaś sezonowi otrzymają 35—40 franków miesięcznie i również całe utrzymanie wraz z mieszkaniem. Są to więc warunki o wiele lepsze, niż te, które robotnicy galicyjscy mają w Prusiech.

Wyjazd nastąpił w niedzielę w południe na Wiedeń, Salzburg i Monachium do Nancy, a towarzyszył im aż na miejsce p. Skołyszewski oraz delegat okręgowego urzędu pośrednictwa pracy w Krakowie.

Zdjęcie nasze przedstawia grupę robotników, zebranych przed kolejowym dworcem krakowskim, na godzinę przed odejściem pociągu.



Kapłan redaktorem: Ks. kanonik Hipolit Skimborowicz.
(Do artykułu na str. 10).

Małżeństwo księcia włoskiego z milionerką amerykańską.

Serdeczne uczucie miłości połączyć ma w najbliższej przyszłości księcia Ludwika Sabaudzkiego, księcia Abruzzów, bliskiego kuzyna włoskiego króla Wiktora Emanuela, z córką senatora amerykańskiego, średniej w Stanach Zjednoczonych fortuny, miss Kate Elkins.

Książę poznał swą przyszłą żonę przed niedawnym czasem i zaraz rozpoczął starania o jej rękę, przebywając w Ameryce w ścisłem incognito, pod nazwiskiem Ludwika Sarto. Po pokonaniu rywala, pewnego amerykańskiego milionera, który również konkurował o rękę panny Kate, i po uzyskaniu zgody rodziców swej narzeczonej, książę powrócił do Europy, by uzyskać pozwolenie na ten związek od głowy swego domu, króla Wiktora Emanuela.

Wiadomość o zamierzonym związku małżeńskim księcia wywarła wielkie wrażenie na dworze włoskim. Początkowo starano się odwieść księcia od tego kroku, lecz gdy wszelkie namowy okazały się płonnemi, król włoski dał swe zezwolenie na to małżeństwo, pod warunkiem jednak, że panna młoda oprócz zwykłej wyprawy nie otrzyma najmniejszego posagu. Postanowienie to króla wywołało powszechne zadowolenie, w ten sposób bowiem zakochani będą mogli się pobrać, a zarazem odpadnie podejrzenie, iż połączyła ich nie miłość, lecz interes, o co amerykanie posądzają zazwyczaj europejskich konkurentów do posażnych cór Ameryki.

Tow. rolnicze ks. Cieszyńskiego.

W ubiegłą sobotę jedno z najpoważniejszych towarzystw polskich w Cieszyńskiem, Towarzystwo rolnicze dla księstwa Cieszyńskiego, odbyło doroczne walne zgromadzenie. W zgromadzeniu uczestniczyli liczni reprezentanci towarzystwa i delegaci poszczególnych kółek.

O sile i wzroście towarzystwa mówią cyfry ze sprawozdania o działalności za r. 1907. Organizacya towarzystwa w roku ubiegłym, a 38-ym istnienia, liczyła 73 kółek rolniczych, do których należało 2341 członków.

Działalność towarzystwa jest różnorodną. Poważniejszą część jej stanowi wydawnictwo własnego organu „Rolnik Śląski“ i oddziaływanie przezeń na członków i czytelników, obznajmianie ich z postępami na polu rolnictwa i zachęcanie do pracy owocnej a skutecznej w tym kierunku.

Towarzystwo urządziło w roku ubiegłym szereg kursów naukowych, zorganizowało wycieczki do Opawy i do Wadowic, ogłaszało ankiety. Specyalną zaś uwagę poświęciło sprawie utworzenia zawodowych stowarzyszeń rolniczych, jak nie mniej sprawie założenia polskiego związku kas Raiffeisena. Sprawozdanie wspomina także o sprawie nader ważnej i palącej, mianowicie o szkole dla gospodyń wiejskich, wypowiadając przekonanie, że szkoła ta prawdopodobnie już w roku bieżącym powstanie.

W łonie towarzystwa istniała też sekcya osobna, t. zw. „Związek hodowców drobiu“, która obudziła wielkie zainteresowanie wśród rolników,



Małżeństwo księcia włoskiego z milionerką amerykańską: Miss Kate Elkins.

a poszczycić się może pięknymi owocami pracy, czego dowodem była wystawa drobiu, urządzona w jesieni.

Towarzystwu rolniczemu od kilkunastu lat przewodniczy sędziwy poseł sejmowy p. J. Cięciała, sekretarzem tow. jest p. W. Hłyn, fachowo wykształcony rolnik.

Zebranie trwało kilka godzin; obradowano poważnie, z wielką świadomością wagi spraw, związanych z gospodarką rolną. Miłość ziemi — była myślą przewodnią wszystkich zgromadzonych.



Towarzystwo rolnicze księstwa Cieszyńskiego: Grupa członków wydziału towarzystwa.

Skon angielskiego dyplomaty.

W gronie dyplomatów angielskich największą i najbardziej zasłużoną sławą cieszył się od początku swej karyery politycznej zmarły przed kil-



Śmierć szefa żandarmeryi macedońskiej: Generał Emilio Antonio hr. Robilant, następca Giorgisa Paszy na stanowisku szefa żandarmeryi macedońskiej.

(Do artykułu na stronie 7).

ku dniami przedstawiciel Anglii w Konstantynopolu, Mikołaj Rodryg O'Connor.

Wzrost swej potęgi na Wschodzie i rozwój stosunków handlowych, Anglia w głównej mierze zawdzięczać musi niepospolitym zdolnościom politycznym zmarłego ambasadora. W chwili, gdy z powodu wewnętrznych zamieszek wpływ Anglii na sprawy polityczne świata malał coraz bardziej, dwudziestokilkoletni wówczas O'Connor, jako chargé d'affaires angielski w Pekinie, przeprowadził energicznie dwa wielkie dzieła, które podniosły znaczenie Anglii w Azyi. Pomimo intryg przedstawicieli innych mocarstw, zawarł on z Chinami układ tybetański i doprowadził do skutku rokowania w sprawie traktatu angielsko-chińskiego w Burmah. Po dokonaniu tego zwycięstwa dyplomatycznego został przeniesiony na nowe pole walki, do Sofii, gdzie jako ajent dyplomatyczny zawarł z Bułgaryą bardzo korzystny dla swojej ojczyzny traktat handlowy. Następnie powrócił do Pekinu jako poseł, skąd po kilku latach przeszedł do Petersburga w stopniu ambasadora angielskiego. Tutaj trzy lata stracił na łagodzenie różnych sprzeczności politycznych z Rosyą, poczem został wysłany do Konstantynopola i tam zmarł po czterdziestu dwóch latach służby dyplomatycznej.

Z Przemyśla do Dalmacyi.

Garnizon przemyski pożegnał przed kilku dniami pułk 58 piechoty, który to pułk został przeniesiony w części do Dalmacyi, w części zaś do wschodniej Galicyi.

Do Dalmacyi, do miejscowości Budny, przeniesiony został trzeci batalion tego pułku. Pozostające w Przemyślu oddziały wojska pożegnały towarzyszów broni udających się na stały pobyt w tak odległe strony, nietylko serdecznie, ale i bardzo uroczyście. Na dworcu zebrała się cała starszyzna garnizonu z komenderującym na czele, przybyła też orkiestra wojskowa.

Batalion 58 pułku zajął cały pociąg, umyślnie na ten cel złożony i wśród dźwięków orkiestry odjechał, żegnany okrzykami przez pozostałych kolegów.

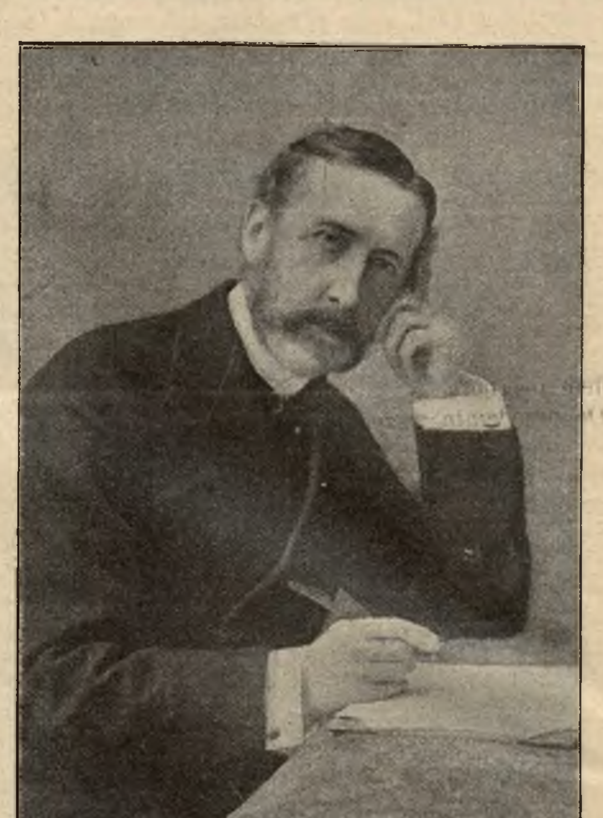
Przeniesienie części przemyskiego pułku daleko na południe nie jest wcale odosobnionym wypadkiem. Już od dłuższego czasu bowiem zarząd austryackiej armii lokuje zastępy swoich żołnierzy na południu, nad granicami włoskiemi, ponieważ coraz głośniej i coraz powszechniej rozchodzą się niepokojące wieści o niezbyt przyjaznych stosunkach między dwoma „zaprzyjaźnionomi" mocarstwam, Włochami i Austryą.

Objawy te i pogłoski są oryginalną charakterystyką wartości i trwałości trójprzymierza, które oba te mocarstwa łączy. I wątpić należy, czy wizyta Wilhelma II, również „członka" trójprzymierza, u króla włoskiego w Wenecyi, a Bülowa u ministra spraw zagranitznych Austryi, barona Aehrenthala w Wiedniu zachwianą „przyjaź" naprawi.

Śmierć patryoty-parlamentarzysty.

W dziejach parlamentaryzmu angielskiego z ubiegłego wieku jedno z najwybitniejszych miejsc zdobył sobie zmarły niedawno w Cannes, książe Devonshiru, przywódca liberałów angielskich. Nie dokonał on żadnego wielkiego czynu, ani nie jaśniał nadzwyczajnymi talentami, a jednak Anglia policzyła go w poczet najlepszych swych synów. Jedynem jego dziełem, którego spełnienie zajęło mu cały długi, bo przeszło siedmdziesięciopięcioletni żywot i którem zasłużył na cześć swych ziomków, było poświęcenie się i służba dla swej ojczyzny.

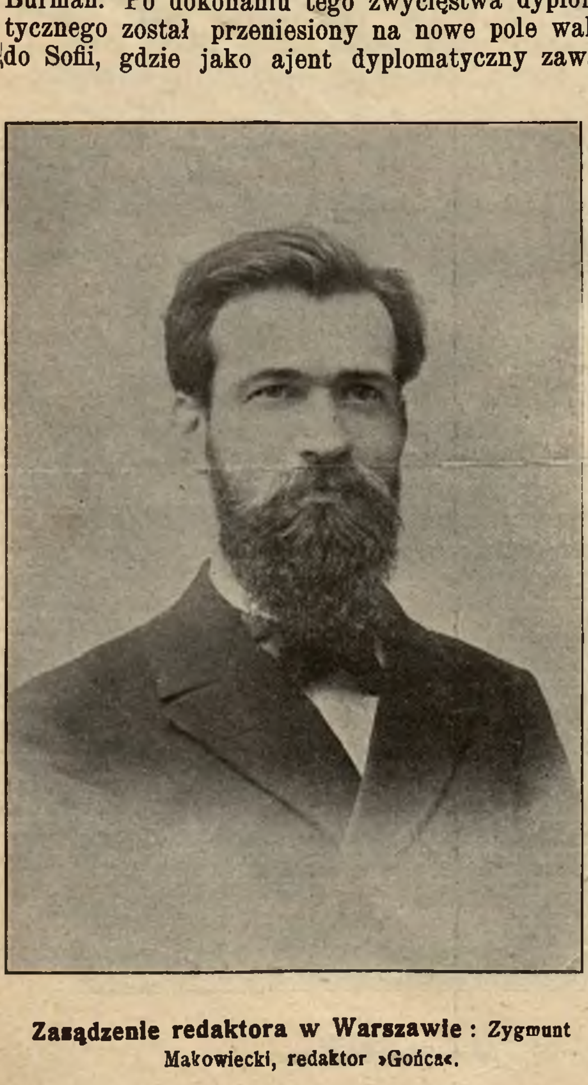
Urodzony w r. 1833 jako syn jednego z najzamożniejszych magnatów angielskich, zamiast pędzić życie zdala od trosk wśród dostatków, młody Devonshire po skończeniu uniwersytetu wstąpił do służby publicznej, której nie opuścił aż do schył-



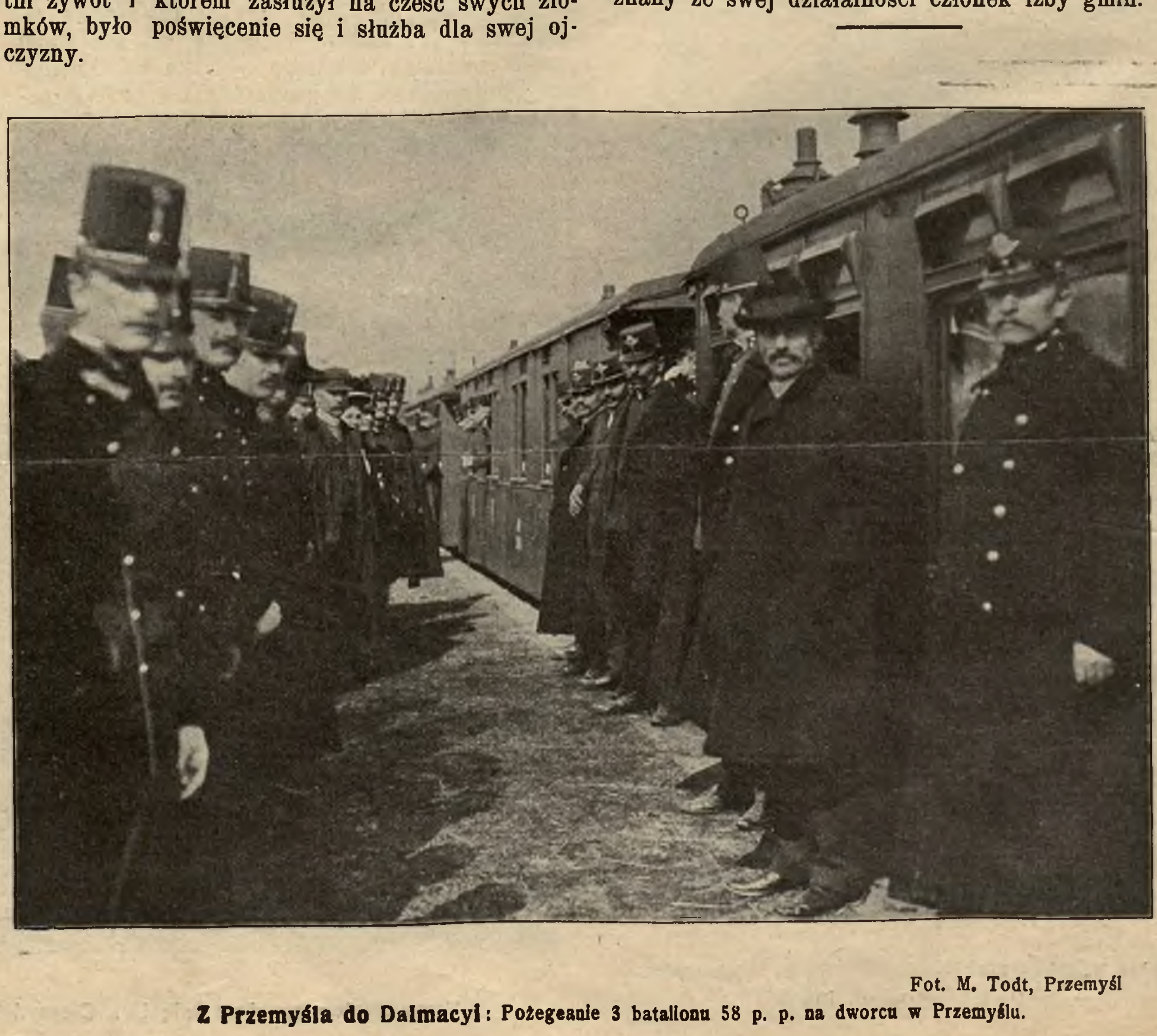
Skon angielskiego dyplomaty: Mikołaj O'Connor.

ku żywota. W trzydziestym roku życia zdobył już takie poważanie w sferach rządzących, iż powołany został na lorda admiralicyi, a w trzy lata później oddano mu tekę ministra wojny. Zasiadał w sześciu gabinetach, pełniąc obowiązki ministra wojny, poczt, Irlandyi i sekretarza dla spraw indyjskich.

Przez dłuższy czas pracował razem ze sławnym politykiem angielskim Gladstonem, lecz gdy ten wniósł projekt zupełnego samorządu dla Irlandyi, ks. Devonshiru zerwał ze swym przyjacielem, występując przeciw niemu w izbie gmin. Z powodu nadwątlonego zdrowia brał od kilku lat coraz mniejszy udział w sprawach publicznych, aż wreszcie na krótko przed śmiercią cofnął się w zacisze domowe. Niezmierny majątek i tytuł książęcy odziedziczył po zmarłym polityku bratanek jego, znany ze swej działalności członek izby gmin.



Zasądzenie redaktora w Warszawie: Zygmunt Makowiecki, redaktor »Gońca«.



Fot. M. Todt, Przemyśl

Z Przemyśla do Dalmacyi: Pożegeanie 3 batallonu 58 p. p. na dworcu w Przemyślu.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

20

Jest prześliczna, dumna i szlachetna, takiej nie spotkał dotąd w swem życiu. I porywała go nieprzemożona ochota spojrzeć w jej głębokie a zimne, odpychające oczy. Ach, gdyby go ona pokochała, gdyby jej oczy zabłysły miłością i współczuciem, gdyby jej ręka ta mała, drobna, pieszcząca, spoczęła z drżeniem w jego ręce...

Gdyby... i opanowało go dziwne uczucie rozkoszy, szczęścia, pożądania, graniczące z omdleniem i bólem tęsknoty.

Do przedziału wszedł na następnej stacyi niemłody człowiek, brunet szpakowaty, ubrany starannie, z twarzą uprzejmie uśmiechniętą i zawołał do inspektora:

— Ludwik! Co za szczęśliwe spotkanie! Właśnie mam interes do waszej dyrekcyi.

— Jeśli sądzisz, że załatwię ci sprawę na poczekaniu, to się zawiedziesz — uśmiechnął się, ściskając podaną rękę. Wam adwokatom zdaje się, że każdy wasz krok, każde spotkanie powinno się opłacić gotówką.

— Otóż mylisz się... — rozsiadł się, położywszy tekę na półce — tu idzie tak dobrze o was, kolejarzy, jak i o nas, o ogół ludności.

— No?!

— Za dwa miesiące wybory do rady państwa. Jako kandydat staje hrabia Mirski, popierany przez starostwo, sfery ziemiańskie i przemysłowe. Ten wam na kolei wody nie zamąci, przeciwnie nawet, stanie w obronie waszej, a że wy jej potrzebujecie, mówię o ministerstwie, a względnie dyrekcyi, na to się zgodzisz, znając stosunki kolejowe. Czy nie tak?

— Mów dalej... słucham... Może pozwolisz papierosa?

— Dziękuję — a zapaliwszy dodał: — wcale dobre papierosy... Otóż kontrkandydatem, z którym musimy się liczyć, jest Dyrkowski... niegdyś student politechniki, dzisiaj majster w Horyni, we fabryce, radykał czerwony, podszyty socyalizmem.

— W jakiej fabryce?

— Gunther i Spichal w Horyni. Czy znasz ich?

— Tak... mają rachunki z nami, a z dyrektorem Szalskim jestem prawie w przyjaźni.

— Bóg mi cię zesłał... Bo zauważ, on ma wielką wziętość u robotników, jeśli i służba kolejowa przyłączy się... może przyjść, jeśli nie do zwycięstwa Dyrkowskiego, to do ściślejszego wyboru. Idzie o to, żeby nie dopuścić do tego skandalu, nie pozwolić na wiece, agitacye i dać stosowne wskazówki służbie kolejowej.

— Hm... pomówię z hofratem... może on nie zechce mieszać się do wyborów, ale stać na uboczu, jako bezstronny świadek.

— Uspokój się. Już on tam dostanie „wink von oben..." przecież idzie o pięćset głosów, co najmniej, a jedna dziesiątka może przeważyć.

— Ano, dowiem się. A wasza agitacya za hrabią Mirskim idzie?

— I jak!... Delegatów wiejskich obrabia wydział powiatowy i księża, urzędników starostwo, zostają robotnicy, ci są najoporniejsi, no i kolejarze.

— A wy nie agitujecie?

— Owszem... nawet z mojej rady hrabia Mirski zwołuje wiec, ażeby założyć gniazdo „Sokoła", zaprosi, ugości, no i wiesz, wybory prezesa, wydziałowych, zabawy na dochód, może odczyt stosowny, teatr amatorski, i dadzą się wziąć na wędkę...

— Niezły pomysł — pochwalił inspektor Lerche — czy owa zabawa będzie w Horyni? — gdyż przyszło mu na myśl, iż mógłby widzieć Jankę.

— Prawdopodobnie... wiesz, w lesie hrabiego, obok stacyi.

— No tak,.. daj mi znać, kiedy.

— Przecież hrabia zaprosi w pierwszym rzędzie dyrekcyę i kolejarzy.

Wszczęła się rozmowa o znajomych, polityce, i mimo iż adwokat Kamerski umiał mówić, Lerche przez cały czas był zajęty Janką. Odrzucał to wspomnienie, odpędzał jak natrętnego komara, a mimo to ona równie piękna, ponętna, surowa i rozumna, stawała wciąż przed nim.

— To minie! To minie — powtarzał sobie po raz setny, gdy przechodził ożywionemi ulicami miasta.

Lecz każda spotkana kobieta nasuwała mu wbrew woli porównania z Janką. I żadna, nawet najpiękniejsza, nie wydała mu się godną, ażeby sprostać w czemkolwiek Janinie. Każda miała inne spojrzenie, chód, ruchy, sposób trzymania głowy i rąk. To nie ona, nie ona, powtarzał w myśli i czuł dziwny, niezrozumiały żal do niej, że tak zapanowała nad jego umysłem i fantazyą.

Przechodził obok księgarni i w oknie wystawowem dojrzał książki w okładce czerwonej, jaskrawej. To przypomniało mu Jankę, wstąpił i zakupił cały stos książek o socyalizmie, począwszy od Marksa, Kautsky'ego, Bebla, Vandervelde'a, aż do broszur ulotnych, i obładowany niemi poszedł do swego mieszkania.

Przy pierwszorzędnej ulicy zajmował trzy ładnie, a nawet wykwintnie umeblowane pokoje. Wszedł do przedpokoju, gdzie czekał na niego służący, który go rozebrał z wielką usłużnością, odebrał tekę z papierami i paczkę z książkami.

—Tekę odnieś do gabinetu, a książki do sypialni... połóż na szafce.

— Rozumiem.

— Był tu kto?

— Nie, tylko list jest pilny do wielmożnego pana.

— Gdzie?

— W gabinecie na biurku.

Poszedł do pokoju niewielkiego, oświetlonego elektrycznością. Spojrzał na leżący list, wzruszył ramionami z miną, która mówiła: cóż mnie to obchodzi? Odrzucił list w ładnej, liliowej kopercie i przejrzał urzędowe papiery. I racjej z nudów, aniżeli z ciekawości rozciął nożykiem z kości słoniowej kopertę liliową. Z uśmiechem drwiącym i znudzonym wyjął liścik, w którym Ryta, od kilku lat dobra jego znajoma, prosiła go usilnie, ażeby przyszedł do niej w interesie ważnym i niecierpiącym zwłoki.

— Zapewne znów idzie o modniarkę — mruknął niechętnie i włożywszy list do koperty, rzucił go do szuflady biurka.

Nie poszedł do niej, lecz czytał przyniesione książki, podniecony wspomnieniem Janki i jej zapałem do nauk socyalistycznych.

Brał książki do biura i w chwilach wolnych od pracy studyował je. Stopniowo przyszedł do przekonania, że idea socyalistyczna, jako idea sama w sobie, posiada równorzędną wartość z innemi ideami, które dążyły na swój sposób do uszczęśliwienia ludzkości, czy to przez zniesienie niewolnictwa, czy przez zrównanie wobec prawa, czy przez ogłoszenie praw człowieka...

A obraz Janki nie odstępował go przez cały czas. Obliczał dokładnie, kiedy ma służbę kasową, kiedy jest wolną. Zastanawiał się, czem się zajmuje, jak upływa jej życie, czy odczuwa ciężar służby, gdy zabrakło jego poleceń i protekcyj.

Zerwał zupełnie z autorką liliowego liściku, tak pochłonęło go uczucie do Janki. I już nie pragnął ani uścisku, ani pocałunku, ani zbliżenia się, tylko jej widoku, posłyszenia jej głosu, spojrzenia w jej oczy.

Tymczasem w Horyni, naczelnik pamiętny słów inspektora o „pobłażliwości" i „pilnowaniu regulaminu", a podniecany przez żonę, postanowił sam dopilnowywać czynności urzędowych Janki.

Regulamin kolejowy ma tę właściwość, że skoro przełożony zechce go stosować w każdym szczególe, w drobnych, biurokratycznych przepisach, może obrzydzić życie nawet najbardziej rutynowanemu urzędnikowi, a ofiara regulaminu nigdy nie zdoła uczynić zadość wymaganiom przepisów, ułożonych przy biurku zielonem, a uzupełnianych nieustannie przez ludzi nie tyle praktycznych, ile niedoświadczonych i dążących bezwiednie do zrobienia z pracownika maszyny, która niema potrzeby odetchnąć, pomyśleć, odpocząć.

Teraz rozpoczęła się dla Janki twarda służba. Zaledwie pociąg wyruszył ze stacyi, wchodził do kasy chmurny naczelnik i pytał tonem urzędowym:

— Jaki jest stan kasy?

— Nie miałam czasu obliczyć.

— Jako kasyerka powinna pani wiedzieć każdej chwili, taki jest przepis, rozumie pani?

— Dobrze, panie naczelniku.

— Czy bilety wpisane we "Vormerks-buchu?"

— Nie zdążyłam.

— A w „Journalu?"

— Właśnie wpisuję.

— Cóż to za odpowiedzi? — wybuchnął naczelnik — służba jest służbą, to nie żadna zabawa czy flirt! wszystko powinno być w porządku każdej chwili.

— Postaram się, panie naczelniku.

— Żadne postaram się, to powinno i musi być zrobione. Postaram się, zostaw pani dla innych. Jestem pewny, że w kasie jest nieporządek, a jeśli przyjedzie pan kontrolor kasowy, ja będę musiał świecić oczyma za niedbałość pani.

Naczelnik usiadł za stolikiem i zawołał podrażniony:

— Zrobimy szkontrum... zobaczę porządki pani.

I zaczynało się szczegółowe sprawdzanie biletów, kasy, książek... a przez cały czas czuła Janka, że naczelnik nietylko jej nie dowierza, ale stara się pochwycić chociażby cień nieporządku, i słyszała urzędowe uwagi:

— Dlaczego nie wpisano?... Cyfry niewyraźne, czy nie umie pani pisać?... W „Journalu" numer zanotowany, a w ternionie jest, co to znaczy?

— Pasażer zażądał biletu, następnie się rozmyślił i po pewnym czasie wziął inny.

— Kasyer powinien mieć na tyle przytomności umysłu, ażeby wykreślić numer wpisany.

— Nie miałam czasu.

— Czas na urzędowanie musi być zawsze. Zamiast stać bezczynnie w okienku i strzelać oczyma, trzeba było wykreślić.

Podobne sceny powtarzały się często, a wzbudzały one w Jance nietylko żal i rozgoryczenie swą niesprawiedliwością, ale rozdrażniały ją w wysokim stopniu.

To postępowanie naczelnika, a miny dumne i lekceważące naczelnikowej i jej córki, wzbudziły współczucie dla Janki, nietylko urzędników ale i służby stacyjnej.

Pierwszy Chrustowski, gdy spotkał się ze Stańskim i z kolegami przy obiedzie w restauracyi, rzekł:

— To ci heca! — a miał zwyczaj powtarzać ten frazes przy każdem ważniejszem opowiadaniu — dziś znowu stary zrobił Traweckiej niepotrzebną chryję.

— No, jaką? — spytał jeden z kolegów.

— Przed „schnellzugiem" o 7·20 położyła się dziewczyna na sofie, ażeby rozprostować nogi po całonocnej służbie. Wpada stary i hajże na nią, że w kasie służba, że zaniedbuje się, że pasażerowie czekają.... no, znacie go przecież. Nagadał, wysapał się, wyzłościł i poszedł. A swoją drogą było dość czasu, ona nie spała, a pasażera ani jednego... Wygryść ją chce po prostu... Cóż ty Stański na to?

— Żal mi jej — odpowiedział zwolna—i może domyślam się przyczyny...

— Jakiej?... Powiedz! — zawołano, gdy umilkł.

— Uważajcie tylko — zaczął przyciszonym głosem — otóż Lerche dał jej posadę kasyerki... przyjechał po zapłatę długu wdzięczności... rozumiecie?

— A to ci heca! — zaśmiał się Chrustowski, przygładzając delikatnie włosy na łysinie — przepędziła go jak kota od sadła... i miała słuszność, jak mi Bóg miły.

Drugi urzędnik szepnął do siedzących:

— Byłem wówczas na służbie, no a wiecie, jaki ten Lerche lizus dyrektorski... pilnowałem się też i oczu z niego nie spuszczałem. Widziałem, jak pod zarzutką schował bukiet i pudełko... pewno prezentem chciał ją ująć, bo jak szedł do naczelnika miał próżne ręce.

— Iii, opowiadasz stare rzeczy — uśmiechnął się Chrustowski, zabierając się do jedzenia — już Zgierska trąbiła o tem na wszystkie strony... Mów Stański dalej!

— Otóż rozczarowany Lerche musiał dać wskazówki naczelnikowi, co do niej...

— I zapewne, co do ciebie — dodał Chrustowski — bo ci sadła nie żałuje nasz stary.

— Mniejsza o mnie, dam sobie radę. Świat nie kończy się na naczelniku... Mam to przekonanie, że ona nie za zdradę otrzymała miejsce kasyerki, ale po prostu Lerche chciał ją pochwycić... Teraz żałuję za rzucone na nią podejrzenie. Z obecnych na owem tajnem zebraniu mógł podać szczegóły, albo Wapieński, którego kolej zbyt mało interesuje i wygadał się przez nieuwagę, albo też jeden z uczestników, mężczyzn, ale nie Trawecka.

— Kogoż masz w podejrzeniu? — spytał Chrustowski.

— Z wyjawieniem nazwiska zaczekam, aż zbiorę dowody... ale co do Traweckiej, proszę was, nie róbcie jej wstrętów, mam to przekonanie, że jest niewinna.

Zaczęli rozmowę o swoich sprawach osobistych i po skończeniu obiadu poszli do biura.

Wieczorem tegoż dnia Stański z polecenia naczelnika miał przyjąć i odprawić pociąg osobowy, a wiedząc, że ma to być próbą jego uzdolnienia do samoistnej służby ruchu, postanowił wytężyć swą uwagę, ażeby wszystko poszło dobrze i sprawnie.

Wyjątkowo tego dnia, przed świętem, liczni robotnicy przybyli na dworzec, ażeby odwiedzić rodziny swe, korzystając z następnego wolnego dnia.

Stański z pewną obawą ujrzał napływających tłumnie pasażerów, a pierwszą jego myślą było ubezpieczenie się, czy w pociągu znajdzie się stosowna ilość miejsc wolnych.

Na dwadzieścia pięć minut przed przyjściem pociągu miał już odpowiedź telegraficzną z dalszej stacyi, że pociąg jest pełny.

Wyszedł z biura natychmiast, ażeby zarządzić przygotowanie wozów świeżych do pociągu. Na peronie spotkał naczelnikową z córką, które ledwie raczyły skinąć głową nieznacznie na jego uprzejmy ukłon. Zaledwie zawołał dozorcę wagonów i skinął na przesuwaczy, wtoczył się przez drzwi restauracyjne naczelnik, spojrzał i zawołał:

— Panie Stański, dlaczego pan zwołuje ludzi bez potrzeby? To marnowanie czasu.

Wezwany podszedł do naczelnika i meldował tonem urzędowym:

— Pociąg osobowy przepełniony, a Horynia będzie miała do stu, a może więcej pasażerów... przygotowuję wagony.

— Tak? — zaśmiał się ironicznie — czy pan myśli, że osiowe i wysłanie zbędnych wagonów nic nie kosztuje?... Ładna gospodarka!? Wagony są niepotrzebne, ten motłoch robotniczy nie udusi się w pociągu.

— Czy to rozkaz pana naczelnika? — spytał z udanym spokojem.

— Zdaje się, że mówię w języku zrozumiałym dla pana.

Stański skłonił się, podszedł do stojących robotników kolejowych i rzekł głośno:

— Z rozkazu pana naczelnika wagony nie są potrzebne.

Naczelnik słysząc te słowa, dość szybko podszedł do Stańskiego i rzekł gniewnie:

— Urzędnik przed służbą nie potrzebuje się tłómaczyć. Wystarczy rozkaz i basta.

— Ja też powtórzyłem rozkaz.

— Podobne odpowiedzi dawaj pan służbie, a nie naczelnikowi. Ostrzegam pana.

— Rozumiem.

Do przyjścia pociągu było jeszcze dwadzieścia minut. Stański stosownie do regulaminu sprawdził, czy służba na miejscu, obejrzał oświetlenie stacyi, porządki w poczekalniach i z kolei przeszedł do sieni w pobliżu kasy biletowej. Tu ujrzał cisnący się tłum ludzi i Trawecką, która z gorączkowym pośpiechem wydawała bilety.

Spojrzał na zegarek. Za piętnaście minut pociąg; obliczył, że ona nie zdąży na pięć minut przed odejściem pociągu zamknąć kasę. W umyśle odtworzył sobie gniewną minę naczelnika, zmieszanie i kłopot Traweckiej, i zawołał ostro:

— Nie pchać się!... Rozstąpcie się.

Na widok czerwonej czapki pasażerowie, którzy już zaczęli wygrażać kasyerce, umilkli, a Stański rzekł surowym głosem:

— Nie tłoczcie się, bo nie dostaniecie biletów... Cicho! Kto z was jedzie do... — wymienił stacyę główną — ci niech staną oddzielnie... Policzcie się, oddajcie jednemu pieniądze, a kasa wyda jemu bilety.

Ten sposób nabycia biletów wydał się robotnikom i innym pasażerom łatwym i praktycznym. Podzielono się szybko na grupy, a Stański przystąpił do okienka kasowego, skłonił się uprzejmie i rzekł z uśmiechem przyjaznym:

— Robota pójdzie składniej, gdy z kilkoma kupującymi będzie pani miała do czynienia.

Janka widząc dobre jego chęci, odpowiedziała dość serdecznie:

— Dziękuję... istotnie mogłabym była nie wydążyć.

— Ilu was do stacyi N...? — zawołał Stański.

— Czterdziestu trzech — odpowiedział wybrany przez robotników płatnik.

— Niech pani ostempluje bilety... a wy liczcie pieniądze.

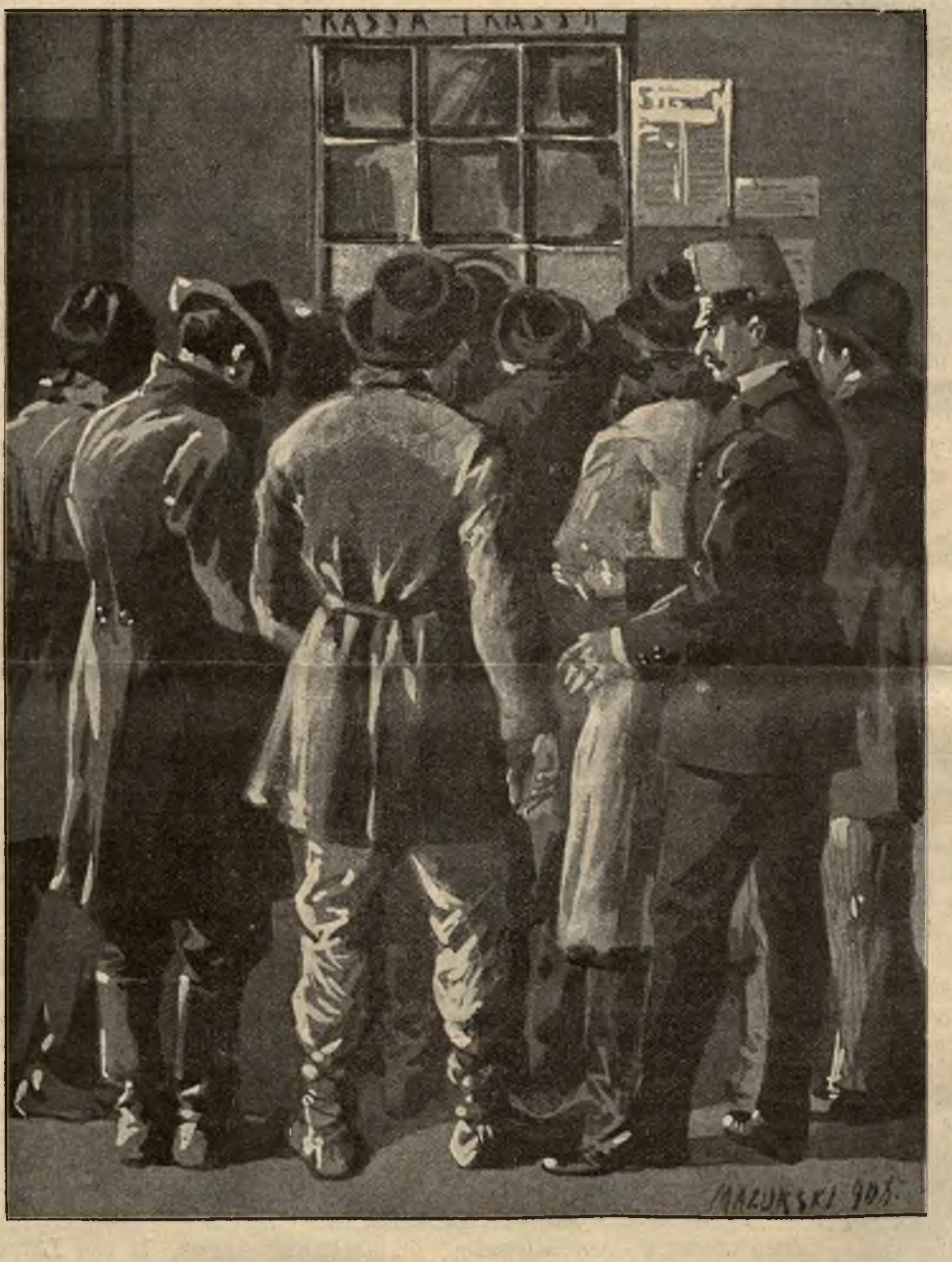
W tej chwili nadszedł wolnym krokiem naczelnik, z cygarem w ustach, spojrzał na Stańskiego, na Jankę i odezwał się złośliwie:

— Towarzyszka sama da sobie radę, a tu nie miejsce dla pana.

Stański pobladł z gniewu, spojrzał z pasyą w oczy naczelnika, zdusił cisnące mu się słowa i salutując stosownie do zwyczaju umundurowanego urzędnika, odpowiedział po krótkiej chwili:

— Regulamin każe, ażebym zbadał kasę osobową.

— Co mi pan zasłaniasz się regulaminem — uśmiechnął się naczelnik — wiem, co się tu święci.



Nie pchać się! Rozstąpcie się! — rzekł Stański.

— Regulaminowi i pan naczelnik i ja podlegamy na równi — rzekł Stański spokojnie.

— Co? — krzyknął naczelnik — co to za mowa?!... Pan... pan asystent będzie mnie, naczelnika, pouczał? Zamiast regulaminu, będzie pan miał naukę z dyrekcyi... a pani nie słuchaj, tylko rób swoje — spojrzał złemi oczyma na Jankę.

— Rozumiem, panie naczelniku — salutował Stański i poszedł.

Naczelnik z miną groźną i surową szedł dalej, szukając rozmyślnie sposobności dokuczenia Stańskiemu, nietylko za ów „regulamin“, ale i za śmiałe jego spojrzenie.

Z peronu dojrzał Stańskiego, wracającego ze zwrotnicy i kontroli służby przy „semaforze“, słupie wskazującym maszyniście lokomotywy, czy tor jest wolny lub zajęty.

— Panie Stański, „wajchy“ w porządku?

— Tak jest, panie naczelniku — i szedł dalej w kierunku swego biura.

— Zaczekaj pan — krzyknął naczelnik — a służba?

— Na miejscu.

— „Wagenaufseher“ gdzie?

— Czeka na pociąg.

— Gdzie pan teraz idzie?

— Czekam odpowiedzi na depeszę.

— To powinno być dawno zrobione... u mnie nazywa się to niedbalstwem.

Naczelnik rozmyślnie mścił się na Stańskim, wiedział dobrze, że równocześnie nie mógł on być i przy zwrotnicy i w biurze. Na razie Stański połknął pigułkę i szybko zniknął w drzwiach biura.

— Klemensie... ten socyalista lekceważy ciebie... jak on stał? jak się ukłonił?

— Już ja uspokoję jego fumy, bądź pewną Fipciu.

— I ja tak myślę. Od czegoż jesteś naczelnikiem?

Cienkie a przenikliwe dzwoneczki brzmiały nieustannie, a na peronie wzmagał się gwar i ścisk.

Stański wyszedł z biura, przeszedł peron i stanął przy torze, po którym miał wjechać oczekiwany pociąg. Jeszcze raz spojrzał, czy służba stoi na swych miejscach, obejrzał się na peron pełen ludzi, przez uchylone drzwi dojrzał, że przy oknie kasowem stoi już tylko kilku opóźnionych pasażerów i czekał.

Z dala doleciał go huk i łoskot pędzącego pociągu, rozległ się przeraźliwy gwizd lokomotywy i pociąg wjechał na stacyę.

Prowadzący pociąg podszedł szybko do Stańskiego, oddał papiery i meldował:

— Pomocnik konduktora Szyc, mimo przepełnienia, zamknął dwa przedziały dla trzech pasażerów, a upominającym się o otwarcie odpowiadał brutalnie i groził — kończąc, zawołał głośno na obwinionego.

W tej chwili podszedł konduktor trzeciej klasy, mówiąc:

— Pasażerowie stoją w kurytarzach i na pomoście, o nieszczęście łatwo. Odgrażają się, tłoczą, żądają wpuszczenia do drugiej klasy.

— Panie naczelniku! — zawołał nadbiegający pasażer — żona raz już zemdlała, konduktor odmówił pomocy, a dziecko omal nie wypadło przez potrącenie lampiarza. Proszę o protokół, o książkę zażaleń.

— Panie naczelniku — zawołał inny — w wagonie ciemno, dwóch pijanych awanturuje się. Jaki tu porządek u was... Podam skargę.

— Ze Szycem na końcu — rzekł Stański do prowadzącego pociąg — panów zaraz zadowolnię. To panu zemdlała żona?

— Tak jest. Ona chora, słabowita, no i dziecko potrącono.

— Zaraz.. pani przejdzie do drugiej klasy z dzieckiem. Lampiarz będzie ukarany.

Ludzie z peronu zaczęli się cisnąć do wagonów, siedzący i tak w ścisku podnieśli krzyk. Poczęły się odpychania, wchodzenia przemocą, a nad tym gwarem rozległ się rozkazujący głos naczelnika:

Panie Stański! Już pan zapomniał o „sztundenpasie“?... Porównać zegarki!... Spiesz się pan!

Stański chciał zwrócić się do biura, lecz pasażer, któremu żona była zemdlała, i ten z ciemnego wagonu, zastąpili mu drogę, wołając:

— Pisz pan protokół! To nadużycie! Brak porządku i opieki.

Naczelnik, nie mogąc się doczekać Stańskiego, a widząc natłok pasażerów, przyszedł i zawołał surowo:

— Nie słyszałeś pan, że wzywałem pana? Spójrz pan, co za nieporządek? Gdzie przytomność umysłu?

Dwaj skarżący się pasażerowie, słysząc wymówkę, domyślili się, że to jakiś wyższy urzędnik i obaj poczęli przed naczelnikiem rozwodzić swe skargi, zaś Stański poszedł do biura, aby podpisać papiery i zanotować skargi.

— Hej! „Zugsführer!“ — zawołał naczelnik i do przychodzącego rzekł surowo: — Co to za nieporządki? ścisk, natłok, zemdlenie, nieoświetlony wagon...

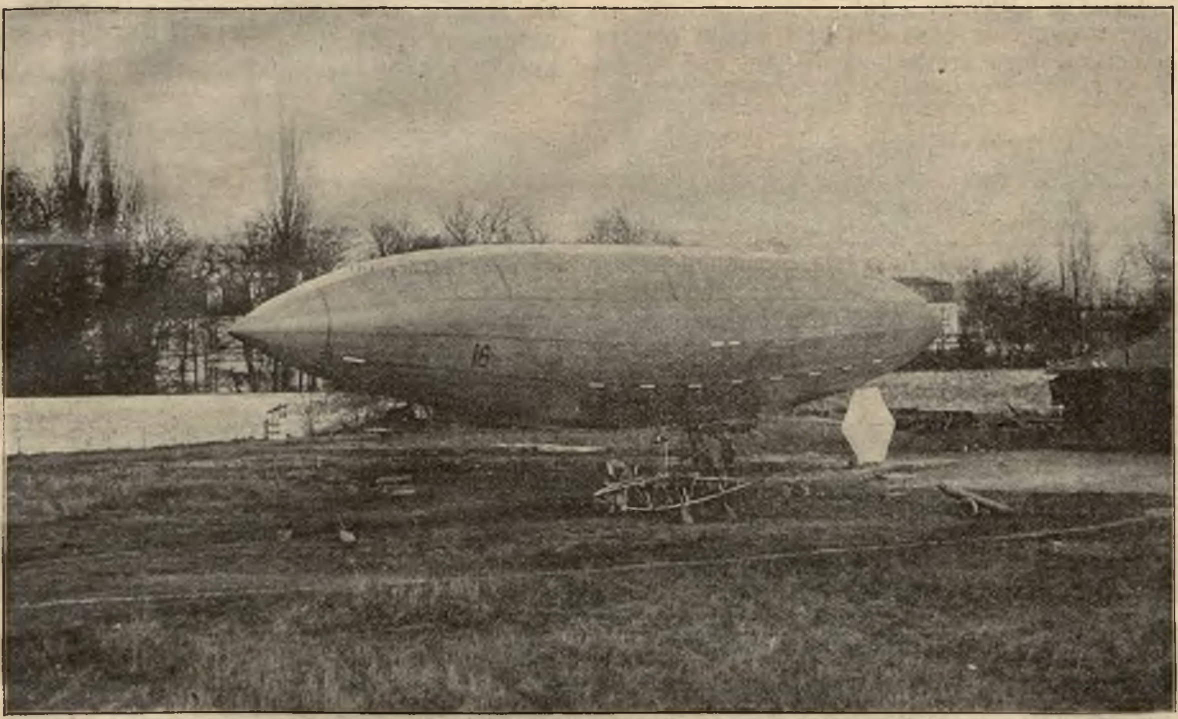
— Już meldowałem, panie naczelniku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Skombinowany latawiec.

Według zapowiedzi aeronautów francuskich, w roku bieżącym można się spodziewać nowych zdobyczy na polu awiatyki. Po rozwiązaniu trudności, połączonych ze sterowaniem balonów, usiłowania wszystkich wynalazców w tej dziedzinie skierowane zostały do ulepszenia przyrządów do latania, cięższych od powietrza. Zachęty w tej mierze nie brakowało, zwłaszcza we Francyi, gdzie oprócz rządu i jednostki prywatne wyznaczają wielkie nagrody za zbudowanie możliwie najlepszego aeroplanu.

Obecnie pozostaje do zdobycia nagroda w kwocie stu tysięcy franków za przepłynięcie w powietrzu na aeroplanie dwuosobowym przestrzeni od Łuku tryumfalnego w Paryżu do katedry w Clermont-Ferrand. Z pośród wielu nowych statków powietrznych, zbudowanych w tym celu w ciągu zimy, pierwsze miejsce zajmuje nowy wynalazek sławnego brazylijczyka, Santos-Dumonta, któremu udało się połączyć aeroplan z balonem sterowym. Wynalazkowi temu wszyscy znawcy wróżą wielkie znaczenie i przyszłość. Santos Dumont oczekuje tylko na ustanie silnych wiatrów, by przedsięwziąć wstępne próby.



Skombinowany latawiec: Najnowszy przyrząd do latania Santos-Dumonta.

Książęca gaża diwy operetkowej.

Nadzwyczajne chyba warunki posiadać musi pierwsza subretka wiedeńskiego „Karlteatru“ Mizzi Zwerenz, skoro dyrekcya tego teatru ofiarowała jej przy odnowieniu kontraktu gażę prawdziwie książęcą, jakiej dotąd nikt z personalu tamtejszego, od kiedy teatr istnieje, nie pobierał. Gaża ta wynosić będzie za 10 miesięcy pracy w roku 48.000 koron, o ileby zaś liczba występów w jednym miesiącu dojść miała do 30, będzie podniesioną do 60.000 koron.

O gażach takich nikt z artystów w naszych teatrach, choćby nie wiedzieć jak nadzwyczajnymi był obdarzony warunkami i zdolnościami, marzyć nie może, ponieważ dochody scen polskich są zbyt skromne, by starczyć mogły na tego rodzaju wydatki.



Książęca gaża diwy operetkowej: Mizzi Zwerenz.

Olbrzymi wyścig.

W jednym z poprzednich numerów, wspominanając o przebiegu olbrzymiego wyścigu samochodów z Nowego Jorku do Paryża, podaliśmy opis ciężkich warunków jazdy, z jakimi uczestnicy wyścigu muszą walczyć wśród zasp śnieżnych w Północnej Ameryce.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające samochód angielski „Thomas“, pędzący po torze kolei żelaznej, po drodze stosunkowo wygodnej, gdyż uprzątniętej ze śniegu.



Olbrzymi wyścig: Samochód »Thomas« na torze kolejowym.

Smierć szefa żandarmeryi macedońskiej.

Sprawa macedońska, która na pewien czas zeszła z widowni politycznej Europy, stanie się znowu przedmiotem rozpraw dyplomatów, z powodu śmierci generała Giorgisa Paszy.

Dla załatwienia ciągłych zatargów ludów bałkańskich z Portą Ottomańską, mocarstwa europejskie, po porozumieniu się z Turcyą, podzieliły przed sześciu laty Macedonię na pięć prowincyj, oddając nad niemi dozór specyalnemu przedstawicielstwu zainteresowanych mocarstw. Każda z tych misyi składa się z jednego pułkownika i pięciu oficerów, pozostających na żołdzie poszczególnego mocarstwa, ogólne zaś nad niemi dowództwo powierzono właśnie przedstawicielowi Włoch, Giorgisowi Paszy, który z przydzielonymi do boku swego pięcioma oficerami innych mocarstw pozostawał na żołdzie tureckim.

Przed niedawnym czasem Giorgis Pasza, po uzyskaniu urlopu, przyjechał na odpoczynek do Rzymu, gdzie zmarł po krótkiej chorobie na zapalenie żył. Urodzony w 1844 r. w Suzie, po ukończeniu akademii wojennej w Turynie, wstąpił do służby wojskowej, w której pozostawał aż do nominacyi swojej do Macedonii. Na tem stanowisku zdobył sobie powszechne uznanie mocarstw europejskich, których dyplomaci obecnie już przeprowadzają rozprawy nad mianowaniem jego zastępcy.



Smierć szefa żandarmeryi macedońskiej: Generał de Giorgis Pasza.

Smutny koniec śpiewaka.

Przed kilku dniami zakończył życie w szpitalu wolskim w Warszawie, w nędzy ostatecznej i opuszczeniu ś. p. Stanisław Sienkiewicz, artysta śpiewak, b. tenor opery warszawskiej.

Ś. p. Sienkiewicz, rodem ze Lwowa, tam ukończył nauki gimnazyalne i tam wpisał się na uniwersytet. Obdarzony pięknym głosem tenorowym, postanowił rzucić posadę, jaką zajmował, a poświęcić się karyerze artystycznej, zwłaszcza że występy jego na estradzie koncertowej, głównie w szeregach „Echa“, zapewniły mu duże powodzenie.

I powodzenie to towarzyszyło mu istotnie w pierwszych latach na scenie. Wystąpił naprzód w Stanisławowie, w trupie operowej Reckiego i Czystogórskiego, podówczas tam bawiącej, następnie zaś wyjechał do Warszawy i odrazu zdobył uznanie. Został też wnet zaangażowany na pierwszego i stałego tenora warszawskiej opery, a jego kreacye w „Halce“, „Strasznym dworze“, „Hrabinie“ i innych operach, świadczyły o dużej muzykalności i niepospolitym materyale głosowym.

Celem uzupełnienia studyów i wydoskonalenia głosu wyjechał ś. p. Sienkiewicz do Włoch, tam jednak głosu nietylko nie poprawił, ale go popsuł, a powróciwszy do Warszawy musiał walczyć z ciągłemi przeciwnościami losu. Stracił stanowisko pierwszego tenora, stracił potem w ogóle miejsce

w operze i musiał zarabiać na życie koncertami po prowincyi.

Smutne warunki życiowe, ciężki zawód, jaki go spotkał, spowodowały wreszcie chorobę nerwową, tak iż musiał szukać schronienia w szpitalu. Tam też w nędzy życia dokonał; w ostatnich czasach opiekowali się nieszczęśliwym artystą koledzy, artyści opery warszawskiej, oni też zajęli się jego pogrzebem.



Smutny koniec śpiewaka: Ś. p. Stanisław Sienkiewicz.

Cesarz Wilhelm II. w Wenecyi.

Prastary gród dożów, perłę Adryatyku, przepiękną Wenecyę, spotkał niezwykły zaszczyt. W mury jej zjechał cesarz niemiecki, Wilhelm-Podróżnik, aby zakosztować roskoszy jazdy na gondolach, aby zwiedzić piękności oryginalnego miasta, a nadto aby spotkać się tam z królem włoskim i naprawić bodaj częściowo i załatać rozklekotane trójprzymierze.

Wizyta cesarza niemieckiego w Wenecyi ma bowiem niewątpliwie znaczenie polityczne, a celem jej jest odnowienie stosunków przyjaznych i pokojowych między dwoma państwami, należącemi do trójprzymierza. Stosunki te w ostatnich czasach znacznie się oziębiły, nie tak może, jak między Austryą i Włochami, w każdym jednak razie „w interesie pokoju“ międzyeuropejskiego leżało ich „odświeżenie“.

Cesarz Wilhelm z żoną i książętami przybył do Wenecyi w środę ubiegłego tygodnia w południe. Na dworcu kolejowym oczekiwał go król Wiktor Emanuel w otoczeniu swej świty oraz minister spraw zagranicznych, Tittoni. Gdy pociąg dworski zajechał na peron, podniosły się owacyjne okrzyki, poczem obaj monarchowie przywitali się, a następnie gondolami odjechali do pałacu królewskiego, gdzie odbyło się śniadanie z nieodzownymi w takich wypadkach toastami na cześć obu monarchów, ich rodzin i „zaprzyjaźnionych“ krajów. Po śniadaniu udali się cesarscy goście na pokład statku „Hohenzollern“.

Następnego dnia odwiedził król włoski cesarza na pokładzie jego statku, popołudniu zaś odbyła się tam „herbatka“ dla pań weneckich. Wieczorem powrócił Wiktor Emanuel do Rzymu — od tej chwili też cesarz Wilhelm oddał się wyłącznie zwiedzaniu miasta.

Aż do poniedziałku zabawił cesarz niemiecki w Wenecyi, poczem wybrał się na wyspę Korfu, celem odbycia tam kuracyi.



Cesarz Wilhelm II. w Wenecyi: Cesarzowa niemiecka z księżniczką Wiktoryą Ludwiką w galowej gondoli.



Cesarz Wilhelm II. w Wenecyi: Wiktor Emanuel i Wilhelm II. w gondoli na Canale grando.

Kobieta reporter.

Bardzo oryginalnego sprawozdawcę posiada pismo amerykańskie *Trinidad Chronicle News*. Jest nim młoda, przystojna i dzielna kobieta, miss J. E. Young.

Sama zwolenniczka i miłośniczka kilku rodzajów sportów, zwłaszcza zaś piłki nożnej i jazdy konnej, rozumie się i na wszelkich innych gałęziach sportu, jako sprawozdawczyni też tego działu pisma jest siłą wprost nieocenioną. Podnieść też warto, że piórem włada doskonale, że styl jest jej wyrobiony i lekki, że więc fejletony jej cieszą się dużą poczytnością.



Kobieta-reporter: Miss J. E. Young.

Strejk dziennikarzy berlińskich.

Pomimo iż w parlamentach europejskich już nieraz zamiast rozpraw politycznych rozlegały się karczemne obelgi, jakiemi częstowali się nawzajem krewcy i mało kulturalni przedstawiciele ludu, zajście, które miało miejsce niedawno w parlamencie niemieckim, wywołało w całym świecie dziennikarskim dużą wrzawę. Mianowicie podczas rozpraw nad stosunkiem władz niemieckich do krajowców w koloniach afrykańskich, jeden z posłów, stających w obronie murzynów, wyraził się, że i murzyni mają duszę nieśmiertelną, a wówczas w loży dziennikarzy, którzy nieraz pozwalali sobie na rozmaite uwagi, powstał śmiech szyderczy. Nietakt ten sprawozdawców dziennikarskich oburzył do tego stopnia posła centrowego Groebera, iż na cały głos wyraził się o nich: „to znowu te świńtuchy“. Dziennikarze berlińscy uznali tę nieparlamentarną apo-

strofę za obelgę i zażądali publicznego przeproszenia, zaprzestając jednocześnie umieszczania sprawozdań z rozpraw parlamentarnych.

Rozpoczęły się pertraktacye, celem załagodzenia strejku i wreszcie za wpływem prezydenta izby



Strejk dziennikarzy berlińskich: Poseł Groeber.

hr. Stolberga, który na posiedzeniu skarcił dziennikarzy za ich często ordynarne wybryki, poseł Groeber złożył deklaracyę, prosząc w niej o przebaczenie, jeżeli w nieparlamentarnych słowach wyraził swe oburzenie z powodu śmiechu dziennikarzy. Na tem zakończył się spór posłów z dziennikarzami, którzy przystąpili już do pracy. Na razie w loży dziennikarskiej panuje przykładny spokój.

Otwarcie ruchu tramwajów elektrycznych w Warszawie.

W ubiegłym tygodniu nastąpiło w Warszawie uroczyste otwarcie ruchu tramwajów elektrycznych. Uroczystość tę poprzedziło nabożeństwo w kościele Panny Maryi, odprawione przez proboszcza ks. prałata Skarzyńskiego. Na nabożeństwie byli obecni: prezydent miasta, członkowie komitetu budowy tramwajów elektrycznych, administracya tramwajów z dyr. Spokornym na czele, przedstawiciele prasy oraz liczni funkcyonaryusze tramwajowi. Po nabożeństwie prałat Skarzyński w otoczeniu duchowieństwa, poprzedzany bractwem z chorągwiami, udał się na plac Krasińskich, gdzie ustawione były gotowe już do wyruszenia wagony.

Po odpowiedniem przemówieniu ks. Skarzyński dokonał poświęcenia wagonów. Następnie prezydent miasta, p. Litwiński, przeciął wstęgę i o godzinie 9 minut 35 pierwszy wagon, oznaczony numerem 61, prowadzony przez inżyniera-instruktora p. Boulangé, wyruszył z placu Krasińskich. W wagonie tym i dwóch następnych zajęli miejsca: prezydent miasta, członkowie komitetu budowy, administracya tramwajowa i przedstawiciele prasy. Wagon w ciągu 25 minut stanął przy rogatce Mokotowskiej. Za tym wagonem ruszyły zaraz następne z publicznością.

Komunikacya elektryczna została tymczasowo otwarta na linii pl. Krasińskich—Mokotów. Na linii tej krąży 15 wagonów; kurs trwa 25 minut. Wagony idą doskonale; na przystankach i zakrętach nie odczuwa się żadnego wstrząśnienia. W chwili otwarcia ruchu, na pl. Krasińskich i na ulicach, któremi wagony przechodziły, zebrały się tłumy publiczności.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy dwa zdjęcia z uroczystości otwarcia ruchu tramwajów.



Fot. p. Figurski, Warszawa.

Otwarcie ruchu tramwajów elektrycznych w Warszawie: Wyjście procesyi z kościoła Panny Maryi.



Fot. p. Figurski, Warszawa.

Otwarcie ruchu tramwajów elektrycznych w Warszawie: Akt poświęcenia pierwszego wozu tramwajowego na placu Krasińskich. Prezydent m. Warszawy, Litwiński (X).

Samobójstwo profesora politechniki.

Niezwykle tragiczną śmiercią zakończył ubiegłego tygodnia życie śp. dr. Stanisław Kępiński, profesor politechniki i docent uniwersytetu lwowskiego. Od kilku tygodni bawił on w jednem ze sanatoryów zakopiańskich, celem poratowania nadwątlonego skutkiem przepracowania i znużenia zdrowia. Wystąpiło przytem niesłychanie silne zdenerwowanie, które wzrosło w Zakopanem i doprowadziło młodego uczonego do chwilowego obłędu i do samobójstwa.

Wiadomość o tragicznym zgonie ś. p. prof.



Samobójstwo profesora politechniki. Śp. prof. dr. Stanisław Kępiński.

Kępińskiego wywołała wśród grona profesorskiego, studentów i licznych przyjaciół szczery żal, zmarły bowiem należał do najbardziej postępowych profesorów i do szczerych przyjaciół młodzieży.

Ś. p. Stanisław Kępiński urodził się w r. 1868 w Bochni, gdzie też ukończył studya gimnazyalne. Studya uniwersyteckie skończył w Krakowie, gdzie należał do najlepszych uczniów profesora matematyki Baranieckiego. Po uzyskaniu doktoratu wyjechał dla dalszych studyów na uniwersytet w Göttyndze, skąd wrócił w r. 1892. W rok później habilitował się jako nadzwyczajny profesor matematyki na uniwersytecie Jagiellońskim, a kiedy w r. 1903 opróżniła się na politechnice lwowskiej katedra matematyki po profesorze Zajączkowskim, powołało ministerstwo oświaty na stanowisko to ś. p. Kępińskiego. W roku szkolnym 1906/07 został też docentem na uniwersytecie lwowskim.

Zwłoki profesora przewieziono do Lwowa, gdzie pogrzeb odbył się ubiegłego poniedziałku przy tłumnym udziale uczącej się młodzieży, kolegów i przyjaciół zmarłego.

Ś. p. Kępiński osierocił młodą żonę i trzyletnie dziecko.



Wybory do lwowskiej rady miejskiej: »Banie« reklamowe komitetu handlowo-przemysłowego.



Wybory do lwowskiej rady miejskiej: Sytuacya pod ratuszem w dniu wyborów.

Wybory do Rady miejskiej we Lwowie.

W ubiegłym tygodniu odbyły się wybory 56 członków Rady miasta Lwowa. Wyborom tym towarzyszyło ogromne zainteresowanie wśród wyborców i bardzo ożywiona agitacya, to też liczba głosujących była tym razem nadzwyczaj duża.

Ruch agitacyjny rozpoczął się już na kilka tygodni przed wyborami, a zaraz po wyborach sejmowych, był też i pod względem nastroju i kierunku ich echem. Charakterystycznym bardzo momentem agitacyi było zjednoczenie sfer mieszczańskich i skrajnie demokratycznych przeciw stronnictwu demokratyczno-narodowemu. Jaki jednak będzie rezultat wyborów, dziś niepodobna przewidzieć, ponieważ skrutynium skończy się dopiero za kilka tygodni.

W każdym razie zwycięstwo listy miejskiej, czyli „Strzelnicowej“, w tej formie, w jakiej ona została pierwotnie ogłoszoną, jest wykluczone. W pierwszem głosowaniu zdobyła większość absolutną zapewne tylko część kandydatów, którzy byli kompromisowymi, t. j. pomieszczeni na kilku poważnych listach.

W samym dniu wyborów ruch agitacyjny skoncentrował się w Rynku, pod gmachem ratuszowym, gdzie jak zawsze ustawiły się całe szpalery roznosicieli tablic z ogłoszeniami, posługaczów z kartkami i listami wyborczemi oraz tłumy ciekawych.

Bardzo oryginalną, a nową reklamę zorganizował na rzecz swej listy komitet handlowo przemysłowy. Poza plakatami i wózkami z rozmaitego rodzaju nalepkami, wypuścił on na miasto całą procesyę agitatorów, dźwigających olbrzymie banie różnokolorowe, na których znajdowały się odezwy, wzywające wyborców, by głosowali „tylko“ na listę handlowo-przemysłową.



Wybory do lwowskiej rady miejskiej: Pochód agitatorów z tablicami.

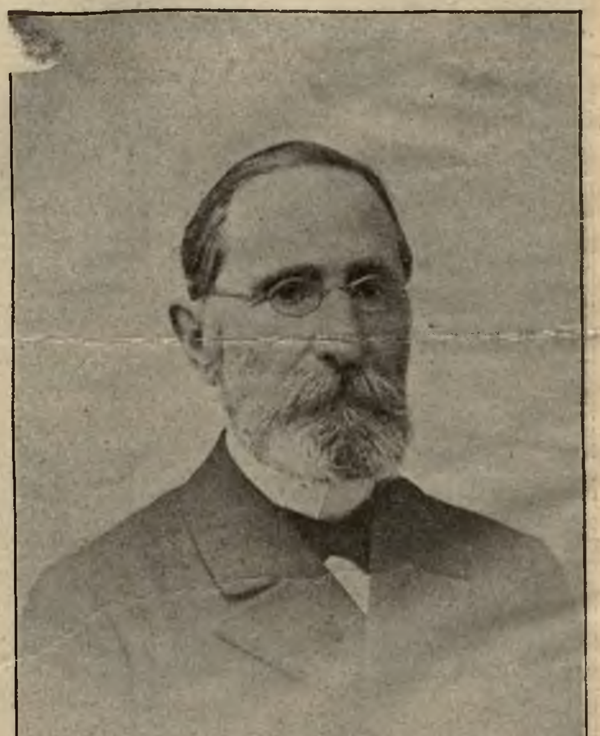
Zgon zasłużonego przyrodnika.

W tych dniach zmarł w Warszawie śp. Karol Jurkiewicz, przyrodnik i pedagog, który wychował liczne pokolenia młodzieży polskiej. Urodzony w r. 1822, po ukończeniu wydziału przyrodniczego uniwersytetu w Petersburgu, mianowany został nauczycielem byłego gimnazyum realnego w Warszawie. Wykładał mineralogię i geologię, a także chemię rolniczą, w zastosowaniu do przemysłu rolnego. Jednocześnie prowadził pensyonat wychowawczy własny dla uczniów zamiejscowych. Z chwilą reformy szkolnej Wielopolskiego, w r. 1862 został profesorem Szkoły Głównej, uzyskał stopień naukowy doktora i przeszedł następnie do uniwersytetu warszawskiego. W r. 1877 został dziekanem wydziału fizyczno - matematycznego, a w r. 1879 otrzymał emeryturę. W r. 1894 obchodzony był uroczyście przez uczniów i wychowańców Jurkiewicza jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy jego i pożytecznej działalności.

Poza obrębem pedagogiki śp. Jurkiewicz był członkiem i prezesem towarzystwa ogrodniczego, redaktorem pisma „Przyroda i Przemysł“ i autorem szeregu rozpraw naukowych.

Śp. Jurkiewicz należał do tej plejady pedagogów-wychowawców, która w epoce przed powstaniem 1863 roku przyświecała młodzieży naszej przykładem, urabiała jej umysły, serca i charaktery.

Zmarł, mając lat 86 — ostatni z tej plejady.



Skon zasłużonego przyrodnika: Śp. prof. dr. Karol Jurkiewicz.

Kapłan-redaktorem.

Dotychczas znane były w dziennikarstwie polskiem wypadki redagowania przez księży wydawnictw peryodycznych wyłącznie treści religijnej lub religijno-literackiej. Wyłom w tej zasadzie uczynił ks. kanonik Hipolit Skimborowicz, który nabył tymi dniami w Warszawie popularny dziennik polityczno-społeczny p. n. „Dziennik Powszechny“.

Ks. redaktor Skimborowicz dał się już poznać jako rutynowany kierownik pisma — redagując przez lat parę tygodnik „Kronikę Rodzinną“, zaś jako doskonały organizator podczas pamiętnej „Wystawy Maryańskiej“, którą w r. 1905 własnem staraniem w Warszawie urządził. Spodziewać się więc należy, że i jako publicysta społecznik i kierownik dziennika, który od lat 26 zyskał sobie w Warszawie uznanie — nie zawiedzie oczekiwań.

Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

2 Ciąg dalszy.

Zamordowany miał szyję przeciętą prawie do samego kręgosłupa; na podłodze leżała zakrwawiona brzytwa.

Lekarz orzekł, że morderstwo spełnione zostało przed trzema godzinami, a więc około drugiej po północy. Komisarz policyi podjął oględziny ubrania zamordowanego. Na palcach błyszczały brylantowe pierścienie, w kieszeni była portmonetka z drobną monetą, ale nie znaleziono ani zegarka, ani pugilaresu. Dziwne się to wydało komisarzowi, bo przecież człowiek wykwintnie ubrany i noszący drogocenne brylantowe pierścienie, bez pularesu z większym zapasem pieniędzy i bez zegarka w podróżby się nie puszczał.

— Morderstwo dla rabunku — rzekł komisarz. Zbrodniarz czyhał zapewne na pieniądze, o których musiał wiedzieć, a pierścieni nie pościągał z braku czasu, i może z obawy, aby się krwią nie powalać.

— Czy pan nic nie widziałeś i nic nie słyszałeś? — zapytał komisarz, zwracając się do doktora.

— Zasnąłem tak twardo, że zupełnie straciłem przytomność — odpowiedział doktor prawie z wysileniem, bo czuł teraz jeszcze większe osłabienie.

— Na którem miejscu pan siedziałeś? — zapytał komisarz.

Doktor je wskazał.

— A ta chustka? — zapytał komisarz — czy to pańska własność?

— Nie panie, zdjąłem ją z twarzy, a skąd się tam wzięła, tego nie wiem.

Komisarz ujął chustkę w palce, powąchał i dając ją lekarzowi, rzekł:

— Nasycona chloroformem.

Lekarz potwierdził, a komisarz policyi zaczął teraz przeglądać pozostawiony płaszcz i znalazł w kieszeni flaszkę z resztkami chloroformu, tudzież czarną, jedwabną chustkę. Konduktor i doktor poznali, że to była ta sama, którą morderca miał twarz obwiniętą.

Wkrótce przeniesiono zwłoki do zakładu medycyny sądowej, a doktor z konduktorem mieli się natychmiast udać do urzędu policyjnego, jako świadkowie, lecz zaledwie stanął doktor na peronie stracił przytomność i zemdlał.

Z pół godziny trwało, zanim mu lekarz, w biurze naczelnika stacyi, przytomność wrócił. Wreszcie zdołał już pojechać do dyrekcyi policyi. Oczekiwano tam na niego z prawdziwą niecierpliwością. Zanim przybył rozpoznano już zwłoki i pokazało się, że ofiarą zbrodni padł Otto Döbel, bankier i radca komercyalny. Nastąpiło przesłuchanie.

— Nazwisko pańskie?

— Fryderyk Schwerdtner, doktor filozofii.

— Czy pan znałeś zamordowanego?

— Nie.

— Niechże pan opowie wszystko, co panu wiadomo, co pan spostrzegł, jakiego wrażenia doznałeś pan na widok towarzyszy podróży.

Schwerdtner odpowiedział dokładnie na te pytania, ale w odpowiedziach nie było żadnego materyału do zebrania poszlak.

— A możeby nam pan powtórzył rozmowę, którą ci podróżni toczyli?

— Rozmawiali półgłosem, więc bardzo mało z rozmowy ich pochwycić mogłem, zwłaszcza że się o nią nie troszczyłem; to tylko pamiętam, że mówili o rzeczach obojętnych, o pogodzie, o życiu w mieście i że byli ze sobą na stopie poufałej, przyjacielskiej, bo do siebie przez „ty" przemawiali.

— A, to szczegół wcale ważny — powiedział urzędnik, kierujący śledztwem.

— Konduktor zeznał również, że obaj podróżni po przyjacielsku przez „ty" do siebie przemawiali, że mieli bilety pierwszej klasy, ale do niej nie wsiedli, bo w każdej przedziałce było po kilka osób, a oni sami wygodnie jechać chcieli. Szczególnie zamordowany Döbel domagał się tego, aby znaleźli miejsce, gdzieby tylko we dwóch siedzieć mogli.

— Mówiłeś pan panie doktorze — odezwał się urzędnik policyi — że mniemany morderca częstował pana cygarem.

— Tak panie. Nie wziąłem cygara, bo nie palę, przytem od nieznajomych nie zwykłem nic przyjmować, ale zwróciło to moją uwagę, że podawał cygara w dziwny sposób. Trzymając „porte cigares", jedną jego połowę przysłonił ręką, a drugą mi podsuwał.

— A! rozumiemy. Koło siedzenia zamordowanego Döbla, znaleziono kawałek niedopalonego cygara. Damy go zaraz zbadać chemikowi. Widocznie morderca uśpił swoją ofiarą zatrutem cygarem i z panem chciał toż samo uczynić. Działał zuchwale, a z szatańską przebiegłością. Chustka, którą twarz panu zakrył, ma oddarty kawałek brzegu, gdzie prawdopodobnie znak był umieszczony.

Dr. Schwerdtner odzyskał już świeżość umysłu, osłabienie go opuściło i zaczął sobie przypominać niektóre szczegóły, o których w zawrocie głowy, w przerażeniu i zatruciu chloroformem, chwilowo zapomniał. Teraz przypomniało mu się, że na pół śpiący widział, jak poobwijany podróżny podniósł się ku lampie i przyćmił ją zupełnie. Teraz przypomniał też sobie, że słyszał wyraźnie wypowiedziane czyjeś nazwisko, dość szorstko brzmiące.

— Może je pan dokładnie sobie przypomni?

— W tej chwili nie mogę.

— Może bodaj główne, najważniejsze głoski?

Schwerdtner namyślał się, tarł czoło; wyczekiwano w milczeniu grobowem tego, co powie, ale przypomnieć sobie nie zdołał.

— Nie, nie. Jeszcze mi się mąci w głowie. Zamęt straszny, patrzę jak przez mgłę.

— Ale czy pan wie z pewnością, że to bankier wypowiedział owe nazwisko?

— Ależ niezawodnie. Słyszałem jego głos, gdy rozmawiał z mordercą. Głos właściwy ludziom otyłym, nieco astmatyczny, zduszony. Tym głosem wyrzucono nazwisko, tylko z wysiłkiem, krzykliwie, jakby z przerażeniem. Wywarło to na mnie wrażenie wstrząsające, chciałem się zerwać z miejsca, ale ubezwładniony chloroformem, nie zdołałem się dźwignąć i nagle doznałem uczucia, jakby mózg pękł mi na dwoje, poczem już straciłem zupełnie świadomość tego, co się działo ze mną i koło mnie.

— A czy zdołałby pan przypomnieć sobie to nazwisko, gdybyś je przypadkiem ponownie usłyszał?

— Zdaje mi się, prawdopodobnie.

— Może pan jeszcze pamięta jakie szczegóły?

— Nic już, nic zgoła.

Na tem skończyły się zeznania doktora. Chociaż odzyskał świeżość umysłu, głowa ciążyła mu bardzo, bolała, czuł ugniot, jakby mu żelazny ciężar na czaszce położono. Nie mógł udać się wprost do barona, więc odłożył to do dnia następnego i poszedł na spoczynek do hotelu.

II.

Dość wielki, bogaty był pałacyk barona Ellericha. Wtłoczony nieco w głąb ulicy, otoczony ogrodem, należał do okazalszych budynków w mieście. U furty domek portyera, poza nim klomby więdniejących już kwiatów, bo jesień je przygniatała. Dr. Schwerdtner nie był tu jeszcze, spoglądał więc z tem większą ciekawością na tę siedzibę swego dobroczyńcy, a teraz i swoją. Zapatrzył się w nią, zajęty cokolwiek dziwaczną, może nawet zuchwałą architektoniczną kombinacyą budynku. Było w niej sporo ciężkiej ornamentyki, jeszcze więcej szablonowego naśladowництwa, a najwięcej pretensyonalności. Niemiłego doznał wrażenia; zdawało mu się, że go coś stąd odpycha. Tak bywa niekiedy, że wygląd domu zachęca, lub zniechęca do mieszkańców. Oczywiście i tylko pod wpływem pierwszego wrażenia.

— Czy pan tu ma jaki interes? — zapytał nagle portyer, zjawiwszy się u forty.

— Idę do pana barona Ellericha. Czy jest w domu?

— Niema. Pan baron wyjechał na posiedzenie...

— Proszę mój bilet oddać.

Schwerdtner wręczył bilet, portyer go poufale przeczytał i rzekł protekcyonalnie:

— A! to pan, coś tu nastał do nauki jaśnie panicza. Pan baron zostawił dyspozycyę, żeby pana wpuścić.

To rzekłszy, przycisnął guzik dzwonka elektrycznego, a zaraz potem ukazał się na tarasie pałacyku wygolony lokaj.

— Co tam? — zawołał.

— Przyszedł nauczyciel; zaprowadź go, jak pan baron rozkazał.

Napuszony portyer schował się do swojego domku, a lokaj z oddali skinął ręką, wskazując wejście do pałacu.

Doktor zdumiony, niemal osłupiały pod wrażeniem takiego przyjęcia, szedł jak na ścięcie. Jeżeli służba tak lekceważąco go wita, czegóż spodziewać mu się trzeba od barona i jego rodziny? Nie znał pałaców, nie ocierał się o nie, nawet się nie stykał z ludźmi, co w pałacach mieszkają. Baron pomagał mu, zasilał hojnie funduszami, ale działo się to listownie, lub za pośrednictwem pastora w Berghausen. Raz tylko, przed trzema laty, miał sposobność przedstawić się baronowi w domu pastora, ale rozmawiał z nim krótko, przelotnie, gdyż baron właśnie już wychodził i zatrzymać się nie miał czasu.

Jakiś lęk ogarnął Schwerdtnera, więc nieśmiało zdążał za lokajem. Olśnił go wytwornie urządzony westybul, do reszty onieśmielał przepych, który spotykał na każdym kroku. Lokaj zatrzymał się w bocznym kurytarzu, otworzył drzwi i rzekł sucho:

— To pokój dla pana przeznaczony, ale i oba przyległe pokoje będą pod pańskim nadzorem, bo w jednym jest sypialnia panicza, a w drugim pokój do nauki. Wolno je sobie obejrzeć; pan baron wydał takie zarządzenie.

Schwerdtner wszedł, rozejrzał się do koła. Urządzenie było wcale wykwintne, może nawet za zbytkowne dla człowieka, nawykłego do skromnego życia, nie szukającego przyjemności w wygodach i wygódkach, jeno w poważnej pracy naukowej. Lokaj wyszedł, zamknął drzwi za sobą i doktor sam został w ciszy wielkiego gmachu, który mu się wydał zaklętem zamczyskiem, bez ludzi.

Do przyległych pokoi drzwi były rozwarte, więc próg przestąpił i rozpatrywał się w urządzeniu sypialni swojego przyszłego ucznia. Tu już prawdziwy był zbytek, a dopiero w trzecim pokoju, do nauki przeznaczonym, było mu bardziej swojsko. Mała biblioteczka, mapy na ścianach, tablica w kącie, stół na środku, założony poważnemi illustracyami, atlasami, przybory do gimnastyki i szermierki, wszystko to przemawiało do Schwerdtnera jak dobrzy znajomi, jak przyjaciele, jak towarzysze. Z tego pokoju były drzwi na rozcież otwarte do dalszych apartamentów, ale nie miał odwagi tam zajrzeć.

Usiadł i zamyślił się nad tem, co będzie, jak będzie na tym posterunku nauczycielskim. Jacy tu ludzie, jaki uczeń, jakie życie, jakie stosunki. Od niechcenia rzucił przez nie okiem i zoczył jakiś duży portret, wiszący na przeciwległej ścianie. Lubił sztukę, interesował się nią, więc podniósł się, podszedł kilka kroków i stanął w progu, aby się malowidłu przypatrzyć. Była tu niewielka sala, coś w rodzaju przybocznego salonu, o niewyraźnym charakterze w urządzeniu, umeblowaniu i przeznaczeniu. Z boku były drzwi szklane, na ogrodowy taras wiodące.

Słońce przerwało gęstwę mgły jesiennej, wdarło się pękiem promieni do tej sali i oblało falą światła ów portret na ścianie. Była na nim postać kobiety, naturalnej wielkości. Światło ożywiło portret, uwydatniło piękność rysunku i kolorytu. Poczucie estetyczne porwało Schwendtnera ku obrazowi i zapomniawszy o tem, że mu lokaj tylko trzy pokoje do zwiedzenia wskazał, przestąpił próg sali i do portretu się zbliżył.

Był to obraz pięknej, młodej, bardzo młodej kobiety, wybornego pędzla. Wpatruje się zrazu w technikę malowidła, ale wnet pociągają go ku sobie piękne, zamyślone oczy, melancholijnie w dal spoglądające i zwoje bujnych, jasnych włosów okalających twarz myślącą, piękną, niemal uroczą. Dziwne ta piękna kobieta ma usta. Zdaje się, że co chwilę coś innego na nich się zjawia. Na pierwsze wejrzenie uśmiechają się łagodnie. ale zaraz zmienia się uśmiech dobrotliwy w szyderczy, lub ironiczny. To znowu niby melancholia tęsknota na nich osiadła, a za chwilę zdaje się, że niewinna pustota z nich tryska.

Schwerdtner wpatruje się z różnych stron, zbliża się do obrazu i oddala od niego i nie może sobie zdać sprawy z tej psychologicznej zagadki, uwięzionej w malowidle. Zapomniał o tem, gdzie jest, a widział tylko obraz i czynił studya psychologiczne. Drażniło go, że nie zdołał wyobrazić sobie charakteru, czy bodaj temperamentu wymalowanej osoby i w tem rozdrażnieniu przywidziało mu się, że ta piękna postać na portrecie szydzi z jego dociekań, urąga mu i lekceważąco na niego spoziera.

Usłyszał z boku szelest, spojrzał w tę stronę i spostrzegł tę samą postać, co na portrecie, ale żywą, nie malowaną. Weszła przez drzwi szklane z ogrodu, a zobaczywszy Schwerdtnera, zatrzymała

się, spojrzała nań ze zdziwieniem. Doktor ukłonił się i rzekł zakłopotany:

— Dr. Schwerdtner. Przepraszam, że tu wszedłem zaciekawiony pięknością malowidła; drzwi były całkowicie otwarte, więc...

— Więc nie potrzebuje się pan usprawiedliwiać. Wszakże od chwili wejścia w dom mego ojca, zyskałeś pan wszelkie prawa, domownikom należne.

— Zdaje mi się, że przybyłem do pałacu zawcześnie. Sądziłem, że zastanę pana barona o tej porze.

— Mój ojciec musiał wyjechać na jedno z tych posiedzeń, które go tak rozrywają, ale miło mi będzie zastąpić ojca w przyjęciu pana.

Powiedziała to uprzejmie, ale z wyniosłością i lekko, od niechcenia wskazała doktorowi krzesło. On stał wpatrzony w nią, nie bacząc na formy towarzyskie, na których zresztą znał się nie wiele.

— Więc to pani! córka barona Ellericha! — wyrzekł nieśmiało, na pół szeptem.

— Cóż to pana tak dziwi? — odpowiedziała chłodno i spojrzała na doktora poważnie.

— A że też nie poznałem pani na portrecie? Ależ bo to lat temu kilkanaście...

— Nie rozumiem, o czem pan mówi.

— Będąc małym chłopcem, wychowywałem się w Berghausen, w dobrach państwa i z owych czasów zostały mi wspomnienia.

— A, słyszałam coś o tem; ojciec nadmieniał, że pan z Berghausen pochodzi — odpowiedziała, jakby znudzona, czy zniecierpliwiona.

— Pamiętam panią z lat chłopięcych.

— Ależ ja od lat dwunastu nie byłam w naszych dobrach, na wsi.

— A to właśnie lat temu trzynaście. Pamiętam dobrze. Pani wybaczy, że o tem mówię; chciałbym się usprawiedliwić, dlaczego pozwoliłem sobie potrącić o wspomnienia.

Baronówna, przywykła do subtelnych form salonowych, z razu niechętnie słuchała tych wynurzeń, ale ich oryginalność zaczęła ją zaciekawiać. Przytem szczera, szlachetna i piękna twarz młodego człowieka, obudziła w niej jakąś sympatyę.

— Proszę bardzo, niech się pan nie krępuje. Takie wynurzenia, przy pierwszem spotkaniu, są niezwykłe, a więc tembardziej zajmujące.

— Czy przy pierwszem spotkaniu należy być mniej szczerym, niż przy drugiem?

— Nie sądziłam, że mnie pan tak od razu, na wstępie, zaufaniem obdarzy — odpowiedziała cokolwiek ironicznie.

— Wszakże panu baronowi tyle zawdzięczam, że muszę poczuwać się do obowiązku wdzięczności nietylko dla niego, ale i dla jego rodziny. Wdzięczność zniewala do szczerości. Jeżeli ona wyda się pani w tej chwili cokolwiek naiwną, to proszę mnie rozgrzeszyć w imię tego, że nauczyłem się bardziej cenić prawdę, niż szablony form towarzyskich.

Baronówna uśmiechnęła się nieznacznie, ale w tym uśmiechu nie było już ironii, tylko pobłażliwa łagodność. Ten młody człowiek zaczynał ją bawić; był dla niej zjawiskiem nowem, a więc ciekawem. Tylu się jej przesunęło przed oczyma wymuskanych salonowców, a wszyscy ukuci według jednej formy. Po raz pierwszy widzi człowieka młodego, który ma odwagę mówić to, co myśli.

— Mówiłeś pan o wspomnieniach. Słucham pana — rzekła uprzejmie.

— Dziękuję bardzo za łaskawe pozwolenie. Może się to pani wyda bardzo dziecinne co powiem. Rzeczywiście jest dziecinne, bo wtedy byłem chłopcem jedynastoletnim. Przybyłem na wakacye do Berghausen do mego zacnego opiekuna. Brakowało mi wtedy towarzystwa rówieśników, więc musiałem sam sobie wystarczać. Przyległy las, łąki, pola — bywały powiernikami moich chłopięcych marzeń, a książka najmilszym towarzyszem. Pewnego razu dostała mi się w ręce książeczka z baśniami. Chociaż uczyłem się już wtedy łaciny i jako student gimnazyalny, wolałem poważniejszą lekturę, owe baśnie zajęły mnie bardzo, nawet zachwyciły, bo wiele w nich było poezyi, tej prostej, naiwnej, a uroczej poezyi ludu. I oto w lesie, wśród szumu dębów, usiadłem z książką i czytam o uroczej, zaczarowanej księżniczce, którą piastuje szlachetna czarodziejka. Baśń była illustrowaną. Obrazek przedstawiał cudownie piękną kobietę, jadącą fantastycznym zaprzęgiem z kilkoletnią, prześliczną dziewczynką. Dziewczynka miała długie, jasne, faliste włosy i spoglądała, jakby z zachwytem, na swoją opiekunkę. Wpatrywałem się w ten obrazek i właśnie, gdy miałem zabrać się do czytania nowej baśni, usłyszałem turkot powozu. Spozieram i z największem zdumieniem widzę przed sobą te same postacie, które na obrazku oglądałem. Zdawało mi się, że to sen, że złudzenie; wpatrywałem się niemal z osłupieniem i z zachwytem, rozbudzonym przez poetyczną lekturę. Powóz przejechał prędko i znikł za drzewami, ale wrażenie nie znikło z mej duszy i stało się jednem z najmilszych wspomnień z moich lat chłopięcych. Rozmarzony, dowiadywałem się, kto



Wstała i zadzwoniła. Wszedł lokaj.

jechał tym powozem. Powiedziano mi, że to pani baronowa Ellerich z córką Elwirą.

Baronówna pochyliła głowę, a na jej twarzy dostrzegł doktor powiew smutku i wzruszenia. Domyślił się zaraz, że wspomnienie matki zasmuciło Elwirę. Niekontent był z siebie, że się wyrwał z tem opowiadaniem. Wszakże wiedział od pastora, że baronowa umarła osierociwszy córkę piętnastoletnią. Nie wiedział, jak teraz zatrzeć wrażenie, nieporadny był w obejściu towarzyskiem, więc też lękał się przemówić, aby jeszcze nie pogorszyć sytuacyi. Baronówna opanowała się prędko i rzekła poważnie:

— Mówiłeś pan o baśniach. Najszczęśliwszy to wiek ludzki, gdy się w nie wierzy. „Tyle szczęścia, co człek prześni", w marzeniu o cudownych krainach szczęścia.

— Ośmieliłbym się sprzeciwić pani; wszakże i w życiu można być szczęśliwym, a nietylko w marzeniu.

— Nie wątpię.

— A więc?

— Zależy od tego — jak się to szczęście pojmuje.

— Sądzę, że dla wszystkich ludzi jest jedna dla niego podwalina, a nią: spokój i zadowolenie wewnętrzne.

— Tak, zadowolenie wewnętrzne — powtórzyła od niechcenia baronówna, spojrzała na zegarek i dodała: — a, tak poźno. Zainteresowała mnie ta rozmowa z panem i zapomniałam zupełnie, że krawiec na mnie czeka.

Wstała i zadzwoniła.

Wszedł służący.

— Czy brat mój wrócił ze szkoły?

— Przed kwadransem.

— Może pan zechce poznać teraz swojego ucznia. Bardzo panu dziękuję za tę małą filozoficzną dysputę.

Skinęła głową i znikła.

Schwerdtnerowi dziwnem się wydało, jak można przerywać poważną rozmowę dlatego, aby z krawcem się widzieć; stał chwilę zamyślony, poczem udał się do pokoju swojego ucznia.

III.

Z wytężoną gorliwością czyniła policya poszukiwania, ażeby wyszukać mordercę, ale wszelkie zabiegi były dotąd daremne.

Sprawdzono tylko, że Otto Döbel, jeden z najznakomitszych finansistów stolicy, liczący lat 55, od dwunastu lat owdowiały, posiadał piękny majątek ziemski Murnau, w którym cały tydzień przed śmiercią przebywał. Codziennie otrzymywał liczną korespondencyę i raporty od szefa swojego biura bankowego. Kamerdyner zeznał, że jednego dnia znalazł się wśród korespondencyj jakiś list, który bankiera niezwykle ucieszył. Uśmiechnął się wesoło, gdy go czytał, a po przeczytaniu, wraz z kowertą, schował list do pugilaresu, zamiast go na biurku z innymi położyć. W tej chwili też rozkazał kamerdynerowi przygotować konnego posłańca. Miał nazajutrz być w sąsiedztwie, na polowaniu, lecz otrzymawszy ów list, który go tak ucieszył, wyprawił konnym posłańcem usprawiedliwienie, że przybyć nie może, bo go ważne sprawy do stolicy powołują.

Nazajutrz wyszedł Döbel zaraz po obiedzie, powiedziawszy służbie, że pieszo, spacerem, uda się do stacyi i pojedzie do miasta, a wróci następnego dnia w południe. Widziano go we wsi, jak skręcił ku lasowi i tam spotkał się z jakimś nieznajomym. Rozmawiał z nim bardzo wesoło, nawet śmiał się głośno. Chłopacy wiejscy, kręcący się koło lasu i leśniczy, który właśnie tamtędy przechodził, opowiadali, że ten nieznajomy pan, z którym bankier pod lasem się spotkał, dziwacznie był ubrany. Miał na sobie płaszcz po same kostki, kapelusz z ogromnemi kresami, zakrywający mu zupełnie czoło, a twarz obwiązał czarną chustką jedwabną, tak że zaledwie nos było widać. Opowiadali też, że nie wyglądał na bardzo silnego człowieka, niższy był i szczuplejszy od bankiera.

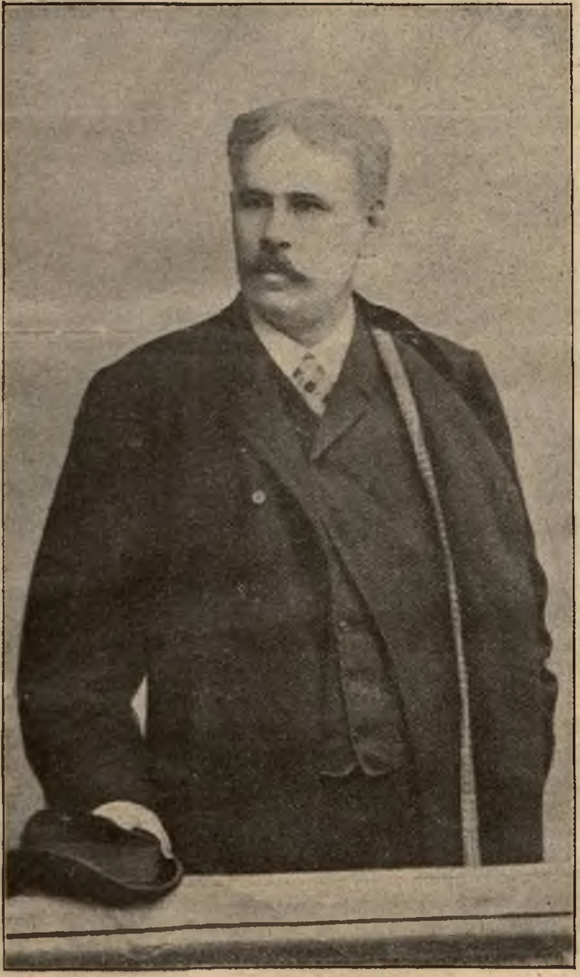
Oficyaliści bankowi oświadczyli stanowczo, że ich pryncypał nie miał najmniejszego powodu wracać nagle do miasta, zatem tylko ów list, który Döbla tak ucieszył, mógł go nagle skłonić do wyjazdu z Murnau. Tym podstępnym listem zwabił morderca Döbla na schadzkę, ale czując się mniej silnym, nie odważył się wprost rzucić na swoją ofiarę, tylko we śnie ubezwładnił ją chloroformem i skrytobójczo zamordował.

Widziano też bankiera na stacyi w Steinfurt, w towarzystwie owego zagadkowego człowieka. Döbel kupił dwa bilety pierwszej klasy, do pociągu, odchodzącego do Berlina o godzinie dziesiątej wieczorem. Konduktor opowiadał, że Döbel, zobaczywszy w przedziale pierwszej klasy już dwie siedzące osoby, kazał sobie otworzyć klasę drugą, bo chciał sam na sam jechać ze swoim towarzyszem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Smierć dzielnego dziennikarza.

W ubiegłym tygodniu zmarł w 61 roku życia współredaktor „Kuryera Warszawskiego", śp. Henryk Sadowski, najstarszy wiekiem współpracownik tego dziennika.



Smierć dzielnego dziennikarza: Ś. p. Henryk Sadowski.

Po ukończeniu Szkoły Głównej pracował Sadowski przez kilka lat w b. Banku polskim, od roku 1888 zaś poświęcił się wyłącznie dziennikarstwu i heraldyce, która była jego ulubionem zajęciem. W redakcyi „Kuryera Warszawskiego" pełnił przez lat 20 obowiązki sekretarza i na tem stanowisku stykał się zawsze z publicznością, mającą jakiekolwiek z tem pismem stosunki. Z tego powodu też postać jego, sympatyczna, rosła, o twarzy pogodnej, znana była w szerokich bardzo kołach Warszawy. Na stanowisku tem pracował do ostatnich niemal dni życia, nawet wówczas, gdy ciężka choroba toczyła jego organizm.

Śp. Sadowski pisywał wiele artykułów, przeważnie z zakresu starożytności polskich, heraldyki i numizmatyki, co do których był znawcą niepospolitym, oraz z zakresu przeszłości Warszawy, którą nad wszystko ukochał. Poza zajęciami redakcyjnemi, pracował nad obszernem, dwutomowem dziełem p. t.: „Ordery i oznaki zaszczytne w Polsce" i wydał je 1905 r., obok szeregu pomniejszych prac.

Wśród kolegów cieszył się ogromną sympatyą z powodu niezwykle zacnego charakteru.

Cześć jego pamięci!

Pogrzeb murzyńskiego monarchy.

Francya, choć sama republikańska, rządzi jednak nad tylu królami, iż o istnieniu niejednego z podwładnych sobie monarchów wspomina dopiero po jego śmierci. Tak się stało i z królem Toffa II., władcą murzyńskiego mocarstwa Porto Novo, położonego w zachodniej części Afryki koło Dahomeju.

To zapomnienie, w jakiem pozostawiono króla sprzymierzonego państwa za życia, wynagrodziła Francya po śmierci. składając go do grobu z wielką pompą. Zwłoki Toffy złożono na galowym wozie, który przypomina swym wyglądem starą, zużytą karetę, pokrytą tylko pstrą materyą. Na wierzchu umieszczono aż trzy stosowane kapelusze z piórami, które miały przedstawiać emblematy władzy królewskiej. Ten wóz pogrzebowy, otoczony żołnierzami z miejscowej załogi, ciągnęli najroślejsi tubylcy. Przy składaniu zwłok do grobu dano strzały karabinowe wśród głośniejszego jeszcze wrzasku osierociałych poddanych.

Na tron po zmarłym władcy wstąpił syn jego, Adżiki Toffa, co znaczy „człowiek sprawiedliwy", który w nagrodę za spokojne życie otrzyma od Francyi, tak samo jak jego ojciec, wspaniały pogrzeb.

Nowy profesor uniwersytetu lwowskiego.

Uniwersytet lwowski zdobył sobie pierwszorzędną siłę naukową w osobie świeżo mianowanego zwyczajnym profesorem na katedrze slawistyki, Antoniego Kryńskiego.

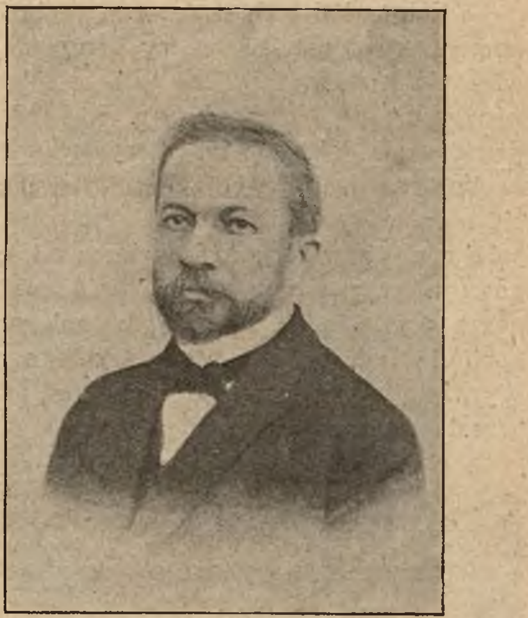
Wśród filologów europejskich prof. Kryński cieszy się zasłużoną sławą, jako jeden z najwybitniejszych językoznawców. Urodzony 1844 w Łukowie, po ukończeniu Szkoły Głównej ze stopniem magistra nauk historyczno-filologicznych, pełnił przez dłuższy czas w Warszawie obowiązki profesora gimnazyalnego języków starożytnych i francuskiego. Z tego okresu czasu datuje się wiele pierwszorzędnej wartości prac filologicznych, na czele których postawić należy redagowane przez prof. Kryńskiego monumentalne dzieło „Prace filologiczne" i „Słownik języka polskiego".

Powołanie prof. Kryńskiego do uniwersytetu lwowskiego przyjęła ucząca się młodzież z wielką radością, witając w nim jednego z najznakomitszych uczonych polskich.

Król oszustów francuskich.

W zjednoczonem królestwie szantażu i szalbierstwa nastąpiła przed niedawnym czasem zmiana tronu. Po detronizacyi Teresy Humbert, która przez długie lata rządziła nad tłumami łatwowiernych za pomocą tajemniczego kufra, wypełnionego staremi gazetami, berło królewskie przeszło do rąk nowego władcy, Raula Rochette'a, pochodzącego także z dynastyi paryskiej.

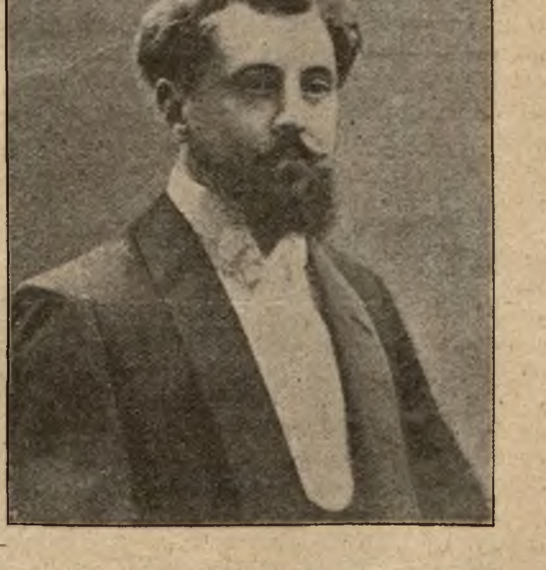
Rządy nad państwem naiwnych sprawował on wprawdzie krótko, lecz nadzwyczaj pomyślnie, w



Nowy profesor uniwersytetu lwowskiego: Prof. dr. Antoni Kryński.

przeciągu bowiem pięciu lat pobrał apanażów na dwieście milionów franków. Z rządów jego podwładni byli do niedawna zupełnie zadowoleni, za składane bowiem pieniądze otrzymywać mieli w przyszłości wielkie zyski z nieistniejących kopalni. Aby olśnić uległe tłumy, król Raul I urządzał się w sposób bardzo prosty. W zakupionej w odległej prowincyi miejscowości kazał pokopać małe tunele, na wzór kopalnianych i wsypał do nich kilka wagonów węgli. Ciekawi, którzy przyjechali oglądać szumnie reklamowane kopalnie węgla, na widok wydobytych rzekomo z ziemi „czarnych dyamentów", wracali do Paryża zadowoleni i kupowali drogie akcye, wypuszczane na rynek pieniężny przez Rochette'a.

Za pomocą tego i podobnych sposobów wyłudzał od łatwowiernych ogromne sumy, aż wreszcie powinęła mu się noga. Jeden z niecierpliwych



Król oszustów francuskich: Raul Rochette.

akcyonaryuszy, nie mogąc doczekać się spodziewanych zysków, dał znać o oszustwie policyi, która z króla łatwowiernych, zamieniła pana Rochette'a na pospolitego oszusta z siedzibą za kratkami.

Nie brak jednak z innych stron zapewnień, że Rochette jest nietyle oszustem, ile ryzykantem przedsiębiorcą i że śledztwo sądowe wykaże jego niewinność w całej tej historyi.



Pogrzeb murzyńskiego monarchy: Zmarły król murzyński, Toffa II. w otoczeniu swego dworu.

Od Redakcyi.

Redaktor naszego pisma p. Stanisław Lipiński powrócił z urlopu i z dniem dzisiejszym objął z powrotem redakcyę pisma.

W sprawie nowej wielkiej szarady.

W odpowiedzi na liczne zapytania PT. Prenumeratorów, zawiadamiamy ponownie, iż rozwiązania muszą być ze względów technicznych bezwarunkowo nadesłane na kuponach. W razie niedotrzymania tego warunku, rozwiązujący nie będą mogli ubiegać się o nagrody. O ile zaś P. T. Prenumeratorom zależy na powieści, którą przez odcięcie kuponu niszczy się w części, to Administracya nasza wyśle każdemu za nadesłaniem w markach 32 hal. nowy egzemplarz tego numeru. Wyrazy utworzone z podanych liter, mogą być przesłane na zwyczajnym papierze.

Redakcya.

Z TYGODNIA

Wciąż się bawimy. Po karnawale mieliśmy moc rautów, koncertów, kabaretów, a teraz nastąpiły wybory do rady miejskiej. W chwili kiedy czytelnicy dzisiejszy numer „Nowości“ otrzymają, będą już Krakowianie wiedzieli, jakich ojców miastu wybrał wielki przemysł i handel i komu powierzyli losy grodu rękodzielnicy. Reszta wyborów odbędzie się w dniach następnych.

Nawiasem mówiąc, owe wybory przeważnie nie będą wyborami, a tylko wynikiem przeprowadzonych układów. Dyrektorzy tego „przedsiębiorstwa“ wiedzą już z góry, za kim się oświadczy wola narodu, tak że nawet trudno byłoby urządzić totalizatora, bo któżby stawiał tam, gdzie są same „pewniaki“. W biegach końskich może jeszcze zajść wypadek: koń zrzuci jeźdźca, złamie nogę, zostanie na starcie, nie weźmie przeszkody. Tu taki przypadek jest całkiem wykluczony. Rzecz z góry ułożona, a w razie potrzeby zapłacona. Tak np. w małych własnościach kandydaci lub ich agenci prowadzą otwarcie targ kartkami wyborczemi: kto ma ich 50, szuka takiego, co ma ich 80, porozumiewa się z nim i razem szukają trzeciego posiadacza setki lub kilkudziesięciu kartek; z kolei przystępuje do interesu czwarty, piąty, szósty i siódmy — razem mają kart 300—400, wypisują na nich swe nazwiska i sprawa skończona; ci co mają kartek tylko 200, przepadli bez ratunku. Naturalnie w miarę „żądań“ kartki idą w górę, lub spadają w cenie. Podobno na giełdzie krakowskiej notowano ten papier koło 20 marca po 15—20 k. za sztukę, a w tydzień później trzeba było płacić po 30—35 kor. Większość akcyj „większej własności“, jak powszechnie wiadomo, znajduje się w rękach jednego przedsiębiorcy i ten jeden zamianuje ze swego ramienia sześciu ojców miasta.

Niespodzianki w ostatnich kilkunastu latach zazwyczaj bywały tylko w kole intelligencyi, która stojąc zdala od giełdy wyborczej, głosowała mniej więcej według przekonania, a ponieważ zdecydowanych zwolenników całej listy demokratycznej lub konserwatywnej nie było więcej, niż 600—700 (razem do kupy), przeto od większości, rzeczywiście wybierającej między kandydatami, zależał wynik wyborów. I tu agitacya miała pewne znaczenie, ale stosunkowo małe. Najwięcej były obrabiane nauczycielki, głosujące przez pełnomocników; nie miały spokojnego dnia i nocy, tak je napadali kandydaci lub ich agitatorzy; wywierano na nie brzydką presyę, grożąc gniewem miejskich wielmożów. Pozatem były jeszcze „przysługi koleżeńskie“, osobiste zabiegi, damskie protekcyjki, ale to wszystko mniej więcej wzajemnie się znosiło. Wyniku, z wyjątkiem kilku popularnych lub zasłużonych nazwisk, nikt przewidzieć nie mógł. Obecnie jednak i w kole intelligencyi zmieniły się stosunki. Naprzód robią się układy z pewnemi kategoryami urzędniczemi: damy głosy jednemu z was, ale wzamian solidarnie za nami głosujcie. Która strona takich układów więcej zrobi, ta już jest górą. Wobec tego coraz mniej ludzi głosujących ze szczerego przekonania, coraz mniej wyborców, a coraz więcej automatów, wyrzucających kartkę za naciśnięciem. Co więcej, kiedy dawniej wyborcy izraeliccy dzielili swe sympatye między stronnictwa, tym razem mają iść podobno do urny jak jeden mąż za listą demokratyczną. Wobec tego zwycięstwo jej więcej niż pewne. Wszelkie zasługi i popularność nic znaczyć nie będą, przeważy tylko barwa polityczna, jak wiadomo przybierana u nas według potrzeby na sezon letni lub zimowy. Przed laty 6 taki np. zasłużony i popularny człowiek, jak śp. Henryk Jordan otrzymał $^3/_4$ głosów, choć był tylko na liście konserwatywnej — obecnie przepadłby prawdopodobnie z kretesem...

Dla ludzi miłujących dobro publiczne, czas wyborów jest moralną torturą. Na szczęście takich ludzi niewiele, więc smutnych twarzy nie widać. Torturą zaś ten czas jest dlatego, że nad całem miastem zawisa sieć intryg, że kalumnie, oszczerstwa, niskie insynuacye jak płatki śniegu latają w powietrzu; przekupstwa, szacherki, paczenie sumień są na porządku dziennym. A wszystko o co? O interesa jednostek, pragnących dostać się do żłobu, lub zadowolić ambicyjki. Sprawy ogólne schodzą na plan drugi — za każdym razem cały miesiąc przynajmniej dla nich stracony. Kwestya, czy Oberwalski przejdzie, lub czy go pobije Fujarkowski, zasłania swą wielkością nawet ciosy narodowe. Zajrzyjcie do dzienników, posłuchajcie rozmów, a przekonacie się, że zatwierdzenie ustawy wywłaszczeniowej i losy antipolskiego paragrafu 7 ustawy niemieckiej o stowarzyszeniach, mniej nas obchodzą, niż kandydatura jakiegoś karyerowicza lub bałwana na radcę miejskiego.

A tu coraz gorzej. Oto mam przed sobą numer „Tygodnika Chrzanowskiego“, który nam się każe lękać już nie o Wielkopolskę, ale o Galicyę. Widzimy z niego, że posuwanie się Niemców na kresach zachodnich przybiera rozmiary zastraszające. W powiecie chrzanowskim już więcej niż ósma część ziemi (9283 hektarów) znajduje się w rękach niemieckich — a lasów część trzecia (7946 hekt. na 25.000). Największem bogactwem powiatu chrzanowskiego jest górnictwo i tem bogactwem, jak wykazuje „Tygodnik“ cyframi, zawładnęli już Niemcy. Na wydobywanie węgla wydały władze górnicze w powiecie chrzanowskim 2578 t. zw. „miar górniczych“ (uprawnień na pewne powierzchnie), z czego 2084 miar przypada na Niemców. „Miar“ na ołowiankę mają Niemcy 32 — Polacy ani jednej. Na 906 miar górniczych na eksploatacyę galmanu mają Polacy 17, resztę Niemcy. Poprzestajemy na tych cyfrach, które dostatecznie stwierdzają, że Niemcy ogarnęli prawie całe bogactwa ziemi chrzanowskiej. I to się dzieje „pod nosem“, o miedzę. A my tymczasem kłócimy się między sobą i ratujemy ojczyznę przez wybór Oberwalskiego.

Mała pociecha dla nas, że z Berlina donoszą o pewnych... niebezpiecznych symptomatach. Oto cesarz Wilhelm zamówił dla siebie pomnik, przedstawiający go jako imperatora w rzymskim stroju, we włosach spadających na kark puklami i z wieńcem laurowym na głowie. Jedną stopę trzyma na kuli ziemskiej — do drugiej przytuliła się sowa, symbol mądrości. — Mała z tego, powtarzam, pociecha dla nas, bo z ustąpieniem jednego człowieka system się nie zmieni. Lekceważenie praw boskich i ludzkich tak weszło w szpik i kości prusactwa, że polepszenia stosunków napróżno oczekiwać byśmy chcieli. I zapewne konferencyjki p. Bülowa z p. Aehrenthalem nie miały na celu zaniechania nagonki na Polaków.

Ale przejdźmy do rzeczy weselszych.

Paromiesięczne nawoływania całej prasy krakowskiej do ratowania „Harmonii“ wydały na razie rezultat dodatni. Wprawdzie mimo sążnistych artykułów stawiło się na walne zebranie aż 18 członków, ale ci członkowie znaleźli między sobą jednego hrabiego, którego naturalnie wybrali prezesem. Wobec tego upadek Harmonii został na pewien czas odroczony.

Nie jednego hrabiego, ale aż kilkunastu znalazł dla siebie krakowski klub automobilistów. Aż radość bierze na myśl, ile poczucia obowiązków i ile ofiarności jest w naszych wyższych sferach. Boć członek klubu oprócz wpisowego 50 kor., musi płacić wkładkę roczną w kwocie 100 koron — sumka bądźcobądź poważna. Stąd też zrozumieć łatwo, że poniósłszy tak znaczne ofiary na cel doniosły, arystokracya nasza nie jest w stanie iść z pomocą innym instytucyom. Tak np. „Straż Polska“, założona „dla obrony interesów duchowych i materyalnych narodu polskiego“, pomiędzy tysiącem swych członków krakowskich (powinno ich być 10 tysięcy) niema ani jednego hrabiego. Obawiać się należy, że bez takich słońc „Straż“ nie wytworzy dostatecznej ilości ciepła, któreby rozegrzało naszych patryotów i zachęciło ich do wspólnej pracy.

Wogóle nietylko liczenie na „słońca“, ale i obliczenie odległości prawdziwego słońca od ziemi pokazuje się niepewnem. Dotychczas wierzyliśmy astronomom na słowo, że ta odległość wynosi 148 milionów i 500 tysięcy kilometrów, tymczasem wykryto maleńką planetę między Marsem a ziemią, a więc planetę ziemi najbliższą, a to odkrycie popsuło obrachunek astronomów. Na podstawie obliczenia jej odległości pokazało się, że ktoby się chciał wybrać w podróż na słońce, musiałby przebyć przestrzeń 141.471.000 kilometrów, a więc większą blisko o milion kilometrów, niż podawały dotychczasowe „przewodniki“. Kto wie jednak, czy to nowe obliczenie nie zostało dokonanem przez dyrekcyę kolei państwowych w przewidywaniu możności przeprowadzenia linii kolejowej na słońce — w takim razie nasunęłyby się poważne wątpliwości co do ścisłości obliczenia. Jak wiadomo bowiem, dyrekcya kolei państwowych w obliczeniu odległości kieruje się zasadą: lepiej przesadzić, niż nie dosadzić. Dlatego też, jeżeli między dwoma stacyami odległość wynosi 10 kilometrów, to dyrekcya dorzuca jeszcze jeden kilometr, aby brać opłatę za przestrzeń 20 kilometrową.

Władze kolejowe wogóle okazują twarde zasady nietylko w obliczaniu odległości. Oto wskutek wielokrotnych petycyj ludności naszego kraju i uchwały zeszłorocznego zjazdu kolejowego „Liga pomocy przemysłowej“ odniosła się do ministeryum kolejowego z żądaniem zaprowadzenia wagonów IV. klasy. Na to ministeryum oświadczyło, że żądanie to „nie da się uwzględnić z przyczyn zarówno techniczno-ruchowych i finansowych“. Ażeby jednak osłodzić tę odmowę, Wiedeń postanowił uszczęśliwić Galicyę „wypróbowanemi siłami“. Ponieważ zawakowały w lwowskiej dyrekcyi dwa miejsca zastępców szefa w oddziale VII., przeto otrzymali te stanowiska pp. Kurzer z Wiednia i Beth z Czerniowiec.

Wowec takich faktów uważać należy za nieprawdziwą pogłoskę, jakoby istniało w Wiedniu jakieś Koło polskie. Choć z drugiej strony na istnienie jego wskazywały wiadomości, że kilku posłów polskich ma wstąpić do „związku posłów miast“ w Izbie poselskiej. Co to będzie za związek nie wiem, choć domyślam się, że to będzie zbyt... pachniał — gdyż dzienniki podają w telegramach, że wniosek założenia tego związku jest żywo „wentylowany“. Jeżeli sam wniosek trzeba już wentylować, co po polsku znaczy przewietrzać, to rzecz najwyraźniej grubo śmierdzi.

Z półek księgarskich.

Znaczną przysługę wszystkim badaczom skarbowości polskiej oddał p. Hieronim Kowalczyk wydaniem »Albumu pieniędzy papierowych polskich z roku 1794«. Autor tego dziełka, p. Jan Litwiński, podając na ośmiu tablicach litograficznych odbitki polskich monet papierowych, zaopatrzył je doskonałem wstępem, w którym wyłożył treściwie całą ich historyę. Album to, dostępne dla wszystkich z powodu swej niskiej ceny, stanowić będzie cenny nabytek dla każdej biblioteki.

»Przewodnik oświatowy« organ Tow. Szkoły Ludowej, poświęcony sprawom oświaty pozaszkolnej i narodowego wychowania ludu polskiego, zeszyt III. za miesiąc marzec 1908 r. opuścił prasę i zawiera następujące artykuły: Zawieszenie działalności Polskiej Macierzy Szkolnej, Ludność polska powiatów Łańcuckiego i Przeworskiego pod względem oświatowym i kulturalnym, Powrót na rolę, Przechadzki z dziatwą szkolną po Krakowie, Kronika, Z prasy, Dział sprawozdawczy Tow. S. L., Przegląd krytyczny literatury.

Nowy dramat historyczny.

Wystawiony w ubiegłą sobotę na scenie krakowskiego teatru dramat historyczny Adolfa Nowaczyńskiego, p. t.: „Car Samozwaniec“, pięć aktów kroniki dramatycznej, to jeden z najwspanialszych a prawdziwie artystycznych sukcesów zarówno młodego a wielce utalentowanego autora, jak kierownictwa sceny tutejszej.

Dzieło Nowaczyńskiego, pełna dramatycznych momentów historya Dymitra Joannowicza, ukazało



Aparatem redakcyjnym W. Lis.
Nowy dramat historyczny: Adolf Nowaczyński.

się w wydaniu książkowem już przed kilku miesiącami i zdobyło jednogłośne uznanie z powodu bardzo wybitnych zalet. W tej formie jednak, w jakiej dramat Nowaczyńskiego został wydany, nie mógł on pójść na scenę; trzeba było długiej, mozolnej pracy, aby go uscenizować, aby wydobyć na pierwszy plan niepospolite piękności, aby wreszcie olbrzymi a surowy przeważnie materyał, zawarty w książce, wcisnąć w ramy pięcioaktowego przedstawienia. I pod tym względem reżyserya teatru krakowskiego zrobiła bardzo wiele.

Nie mniej zrobiono, aby tej sztuce zapewnić godne szaty, aby nowy dramat ukazać na tle wspaniałych, prawdzie historycznej wiernie odpowiadających dekoracyi i stylowych, kosztownych kostyumów. Dekoracye te, przedstawiające bądź namiot wojenny Dymitra, bądź odświętną komnatę Granitowej Pałaty na Kremlu w Moskwie, z archaicznymi, oryginalnymi świecznikami i pająkami, to ostatni wyraz sztuki w tym zakresie. Toż samo kostyumy, wszystkie wzorowane na starych sztychach i obrazach historycznych, a wykonane z materyi zakupionych w Moskwie przy pośrednictwie znakomitego inscenizatora Stanisławskiego.

Patrząc na te wzorzyste kostyumy, delje bogato przetykane złotem i srebrem, a podbite futrem, na te żupany brokatowe, na pasy lite bojarów i szlachty polskiej, lub na stroje kobiet, wykonane z nadzwyczajną starannością i wiernością, odnosiło się wrażenie, iż to istotnie odżyły postacie z owych czasów, znane z współczesnych obrazów i portretów.

Powodzeniem więc, jakie „Car Samozwaniec“ zdobył na scenie krakowskiej, podzielić się musi autor z dyrekcyą teatru. Niemniej jednak dzieło Nowaczyńskiego przejdzie do naszej literatury jako jedna z piękniejszych jej kart. Autor przedstawił tam w formie dramatu dzieje tajemniczej postaci Dymitra, na tle walki o tron moskiewski, walki nietylko popieranej ale wprost prowadzonej przez grono magnatów polskich z Mniszkiem, teściem Dymitra na czele.

Także o wykonaniu nowej sztuki powiedzieć można tylko słowa gorącego uznania i pochwały. Na czoło oczywiście wysunął się — jak zawsze — dyrektor Solski w roli tytułowej, odtworzywszy z nadzwyczajną intuicyą tajemniczą postać Dymitra i podkreślając niezdecydowany, zmienny charakter tej niepospolitej bądźcobądź indywidualności. Wspomnieć też warto o jego kostyumach, odmiennych w każdej odsłonie, a olśniewających bogactwem i przepychem.

Zasądzenie redaktora w Warszawie.

(Do illustracyi na str. 4).

Duże zaciekawienie i zaniepokojenie wywołał nietylko w Warszawie, lecz i w całym kraju proces *Gońca*. Redaktor *Gońca* p. Zygmunt Makowiecki, oraz autor artykułu p. Aleksander Zawadzki, pociągnięci zostali do odpowiedzialności, za wydrukowanie w lutym 1907 r. artykułu p. t. „Polska szkoła ludowa“, omawiającego stosunek społeczeństwa polskiego do szkoły rosyjskiej. W artykule tym wskazywano wyraźnie te nadużycia, jakich dopuszczał się w stosowaniu różnych przepisów ministeryalnych warszawski okręg naukowy.

To dotknięcie wszechwładnego okręgu było zdaje się powodem wytoczenia procesu i w ten sposób zabezpieczenia się raz na zawsze od wtrącania się pism do osłanianych zwykle tajemnicą wielką podziemnych machinacyj. Z rozgłosu, jaki nadano sprawie, jak również z kwalifikacyi przez władze sądowe tego „przestępstwa“, z góry przesądzić można było wynik sprawy. O usprawiedliwieniu przez sąd „przestępców prasowych“ mowy być nie mogło i nikt się tego nie spodziewał.



Aparatem redakc. W. Lis.
Nowy dramat historyczny: Dymitr Joannowicz (L. Solski) w stroju polskim (Akt IV.).



Aparatem redakc. W. Lis.
Nowy dramat historyczny: Wręczenie Dymitrowi insygniów carskiej władzy przez bojarów moskiewskich (Akt I.).



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Nowy dramat historyczny: Maryna Mniszkówna (Jadwiga Czechowska).

Sprawę mimo protestów obrony rozważano przy drzwiach zamkniętych, z kilkunastu zaś świadków raczyło się stawić tylko trzech, gdyż stawienie się pozostałych nauczycieli ludowych mogło ich skazać na utratę posad. Mimo tak niewielkiej liczby świadków, a mianowicie pp: mecenasa Kijeńskiego oraz nauczycieli Radlickiego i Kwiatkowskiego przesłuchanie ich wyświetliło w sposób należyty system okręgu naukowego.

Obrońca p. Zawadzkiego, adw. przys. Krypski, przedstawił cały przebieg akcyi szkolnej w Królestwie, obrońca zaś red. Makowieckiego, mec. Pepłowski dowodził, iż Makowiecki nie może być karany, gdyż trudno od niego wymagać, aby wieszczym duchem przewidział, że prawa naukowe przez manifest będą ograniczone i przekręcone przez okólniki „tymczasowe“.

Na kilka minut przed północą Izba sądowa weszła na salę i przewodniczący prezes Fabricius ogłosił wyrok, skazujący p. Zygmunta Makowieckiego na 3 miesiące więzienia, zaś p. Aleksandra Zawadzkiego na 6 tygodni więzienia. Skazanych pozostawiono na wolności za kaucyą. Przysługuje im prawo apelacyi do senatu.

Sprawa ta jest jeszcze jednym dowodem więcej, iż bieg spraw w Królestwie powraca coraz szybciej do swego „przedkonstytucyjnego“ łożyska.

Skon polskiego uczonego w Petersburgu.

Kolonia polska w Petersburgu utraciła przed paru dniami jednego z najwybitniejszych swych członków, słynnego psychiatrę, profesora Jana Mierzejewskiego. Przebywając nad Newą kilkadziesiąt lat, zmarły profesor zdobył sobie tam niezwykłą popularność i wziętość jako jeden z najwybitniejszych lekarzy, uczonych petersburskich. Pracami swemi z dziedziny nerwopatologii i psychiatryi zdobył sobie wielką sławę za granicą, gdzie był uważany za pierwszorzędną powagę. Profesor Mierzejewski, urodzony w 1839 roku w Jędrzejowie, radomskiej gubernii, po skończeniu gimnazyum lubelskiego wyjechał na studya medyczne do Petersburga do tamtejszej akademii medycznej, w której następnie po śmierci prof. Balińskiego, również Polaka, był przez lat siedmnaście profesorem. Jednocześnie pełnił obowiązki dyrektora kliniki psychiatrycznej. Przed kilku laty z powodu nadwątlonego zdrowia opuścił katedrę profesorską, usuwając się stopniowo od życia towarzyskiego.



Skon patryoty-parlamentarzysty: Książe Devonshire.
(Do art. na str. 4.).

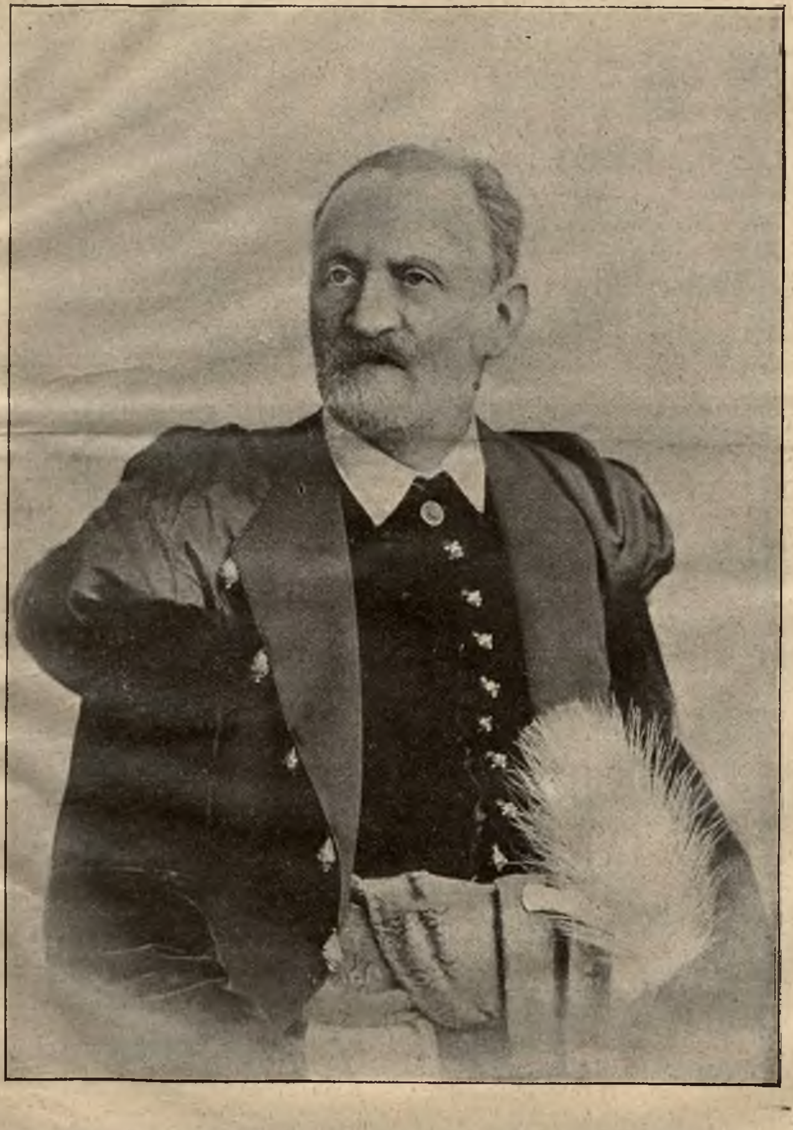
Śmierć jego wywołała w Petersburgu powszechny żal, tak między polską kolonią, jak i w rosyjskiem społeczeństwie.



Aparatem red. W. Lis.
Nowy dramat historyczny: Szujscy przed carem (Akt V.).

Skon burmistrza-patryoty.

Z Przemyśla nadeszła w poniedziałek ubiegły smutna, żałobna wiadomość. Zmarł tam w sędziwym wieku dr. Aleksander Dworski, były długoletni burmistrz Przemyśla, poseł na sejm krajowy i do rady państwa, obywatel zacny i prawy, patryota szczery i szczery demokrata. Z śp. Dworskim schodzi do grobu jeden z tych niewielu już dziś żyjących mężów, którzy wspólnie z Romanowiczem i Rotterem podnieśli w kraju hasło demokratyzmu i sztandar tego hasła wysoko i dzielnie dzierżyli.



Skon burmistrza-patryoty: Ś. p. dr. Aleksander Dworski.

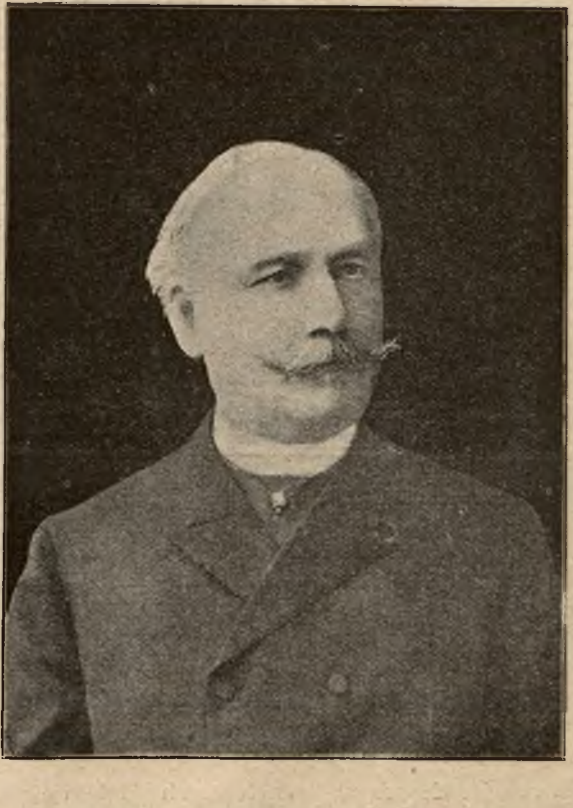
Przedewszystkiem zaś położył śp. Dworski olbrzymie zasługi około rozwoju Przemyśla. Lata jego burmistrzostwa, to lata złotego okresu historyi tego miasta, to lata nietylko wzrostu ale upiększenia i uporządkowania. W pracy zaś około rozwoju swej pieczy powierzonego grodu nie dał się nikomu wyprzedzić i nie szło mu w niej o własne korzyści, ni o własnych zasług wyniesienie, a tylko o spełnienie obowiązków.

Ś. p. Dworski ukochał Przemyśl, choć nie był rodzinnem jego miastem. Urodzony 1822 roku we Lwowie, w Przemyślu osiadł dopiero jako adwokat w 1855. Do rady miejskiej wszedł po raz pierwszy 1868, a w 1881 powołany został na burmistrza i godność tę piastował aż do 1901. Zrezygnowawszy podówczas z powodu nadwątlonego zdrowia ze stanowiska burmistrza, pozostał jednak w radzie miasta i do ostatnich chwil życia służył radami swemi miastu i tym, w których ręku następnie władza spoczęła.

Jako poseł do sejmu i rady państwa, pamiętał zawsze o ukochanem mieście, zawsze też występował jako żarliwy demokrata. Ponadto pracował z zaparciem się i poświęceniem około rozwoju instytucyi humanitarnych, przyczyniając się niejednokrotnie własnymi funduszami do ich podniesienia.

To też w całem mieście cieszył się nietylko popularnością wielką ale i miłością i czcią powszechną. A skon jego wywołał szczery i serdeczny żal we wszystkich kołach społeczeństwa.

Cześć Jego zacnej pamięci!



Skon polskiego uczonego w Petersburgu: Śp. prof. dr. Jan Mierzejewski.

Zamach na profesora w Czerniowcach.

Jak konieczną, jak wprost gwałtowną jest potrzeba reformy stosunków nietylko pedagogicznych ale i wychowawczych, w ścisłem słowa tego znaczeniu, wśród młodzieży szkół średnich, dowodzi głośny dziś wypadek, który miał miejsce w ubiegłym tygodniu w Czerniowcach. Oto wykonany został tam zamach na profesora gimnazyum Filipa

Z lwowskiego bruku.

(Korso lwowskie. — Co tam będzie. — Słówko o wyborach. — »Niezawisłe« komitety. — Listy kandydackie. — Fuk redivivus. — Waryat a § 19 ust. pras. — Adam Didur.).

Ale ci będzie heca! Kraków pozielenieje z zazdrości. A potem pożółknie — i może nawet pęknie. Tak się „sadził“ swoimi plantami, jakby nie wiedzieć czem. Ouwa! Teraz Lwów spodziewa się lepszego interesu, bo nietylko dziennego, ale i nocnego. Dostaniemy wielkie korso. Coś całkiem takiego, jak bulwary paryskie.

Od teatru, przez całą ulicę Karola Ludwika, plac Maryacki, Halicki i Bernardyński, aż ku ulicy Czarnieckiego poprowadzony zostanie szereg plantacyj, ładniejszych i w lepszym gatunku niż obecne, a przedewszystkiem oświetlonych wieczorami mnóstwem wielkich, łukowych lamp. Pod temi lampami i w promieniach ich świateł będzie się spacerować. Co za rozkosz!

Już dziś można sobie wyobrazić w fantazyi widok tego sławetnego korsa. Przedewszystkiem będzie ciasno. Boć na takie wystawy ładnych twarzyczek, najmodniejszych kapeluszów, toalet, parasolek itd. wszystko, co żyje, pójdzie patrzeć. Zwłaszcza, że zadarmo. Cały wielki, różnobarwny, poszturkujący się i przepraszający tłum, który dziś wlecze się każdego mniej więcej pogodnego dnia w godzinach wieczornych na przestrzeni od gmachu sejmowego aż poza hotel Żorża, przeniesie się na nowe korso. I tam będzie się w dalszym ciągu poszturkiwać.

Także „dwunastówka“ powędruje z ulicy Akademickiej na korso. Bokami poustawiają się panowie cywilni i wojskowi, środkiem zaś defilować będą mamy z córkami młodszemi i starszemi, ciocie, wdowy, rozwódki, ładne i niełądne, wszystkie jednem słowem, któreby chciały „paść ofiarą“ i zostać zdobytemi.

Partya socyalistyczna urządzi tam na pierwszego maja wielki spacer demonstracyjny, a sufrażystki lwowskie, z panną Dulębianką na czele, znajdą na nim nowy teren do agitacyi za równouprawnieniem płci pięknej.

A jak Lwów wpadnie znowu w okres przedwyborczy, to nowe korso utworzy centrum agitacyi. Tamtędy będą maszerować procesye z tablicami i afiszami, tamtędy obnosić będą banie reklamowe, tam wreszcie będą ekspresi rozrzucać kartki i listy kandydatów.

Korso więc lwowskie powinnoby być nietylko ozdobą miasta, ale bardzo pożytecznym i praktycznym interesem.

Ale skoro wlazłem na wybory, to już muszę przy nich bodaj chwilkę pozostać. Nie długo! Ot, aby o nich nie zapomnieć. Oczywiście o wyborach do rady miejskiej. Szkodaby było, bo takie wesołe kawałki nie zbyt często się trafiają.

Kulminacyjnym punktem humorystyki wyborczej były komitety i ich listy. Komitetów tych zawiązało się przeszło trzydzieści, a każdy z nich wydał osobną listę. Jakie „misz-masz“ stąd powstało, łatwo sobie wyobrazić. To już gorzej, niż klajster. Najkomiczniejsze zaś to, że na wiele z tych list, opatrzonych nieraz kilkudziesięciu podpisami — wprawdzie indywiduów z pod ciemnej gwiazdy — ale zawsześ podpisami, padło przy wyborach po kilka zaledwie głosów, a nie brakło i takich, które nie zdobyły ani jednego głosu. Ale nazwy miały wspaniale i szumnie brzmiące. Naprzykład lista komitetu postępowych wyborców! Znalazło się tych „postępowych“ aż... 18. Albo komitet „opozycyjnych“ kupców, rękodzielników i przemysłowców. Tych było 15. „Niezawisłych“ mieszczan głosowało 13, „niezawisłych“ kupców 9, a „niezawisłych“ urzędników... 3. Taką samą ilość trzech głosów zdobył komitet „niezawisłych“ obywateli, komitet „związków korporacyi i kupców“ (co to za pokraka?), a wreszcie — najwspanialsze — lista „inteligencyi“. Na listy komitetów budowlanego, fryzyerskiego, tramwajowego i „wolnej ręki“ — nikt nie głosował. Ale listy takie były i przeszły do archiwum literatury wyborczej.

Do literatury tej przejdzie niewątpliwie i nazwisko pana Fuka. Bo pan Fuk zmartwychwstał. Po pamiętnym procesie o kradzież 20.000 koron w Banku krajowym, w którym to procesie sztab pana Fuka zasiadł na ławie oskarżonych, a on sam był świadkiem, przycupnął na jakiś czas i nie było prawie o nim słychać.

Działalność swą całą, tak dawniej krzykliwą, ograniczył do wydawnictwa tygodnika p. t. „Wicher“, wspólnie z jegomościami tego samego pokroju, co on sam, Niedźwieckim i Bekeszem. Po paru miesiącach „Wicher“ przestał dmuchać, a w ubiegłym tygodniu jeden z „redaktorów“, Julian Bekesz, dostał się do aresztu pod zarzutem jakichś oszukańczych manipulacyj. Ponieważ jednak stan umysłowy Bekesza nie zupełnie jest dobry, przeto policya odstawiła go do „sanatoryum“ w Kulparkowie. Stamtąd pan Bekesz czmychnął, równocześnie zaś porozsyłał do dzienników, które pisząc o sprawie nazwały go oszustem, sprostowania na podstawie § 19, twierdząc w nich, że nie jest ani oszustem ani waryatem.

Pan Fuk wyszedł z całej tej sprawy cało i bez zmazy. I byłby może świat znowu o nim zapomniał, gdyby nie klajster przedwyborczy, który go wyniósł na powierzchnię ziemi. A wypłynąwszy, wyfukał pan Fuk nową organizacyę — „polski związek mieszczański“. Organizacyę narodowo-patryotyczną. Bo pan Fuk jest wielkim patryotą.

Inaczej a lepiej i piękniej fuka w teatrze Adam Didur. Dziś niewątpliwie najznakomitszy basista nietylko polski ale światowy. Lwów się nim może szczycić, bo to lwowskie dziecko, wychowanek lwowskiego seminaryum nauczycielskiego. Tu stawiał pierwsze kroki na estradzie koncertowej, już wówczas, przed kilkunastu laty, zdumiewając potęgą swego organu głosowego i szlachetnym, metalicznym jego dźwiękiem.

Nic dziwnego więc, że kiedy teraz przyjechał na gościnne występy w operze, opromieniony sławą, na zagranicznych scenach zdobytą, ściąga do teatru tłumy publiczności, która go darzy nietylko licznymi i szczerymi oklaskami, ale wieńcami i kwiatami.

Bo Lwów umie i lubi być serdecznym, zwłaszcza gdy jest dla kogo.

Tyndyryndy.

Deckera, a tylko dzięki przypadkowi nie skończył się tragicznie.

Profesor Filip Decker, wykładający w VII. i VIII. klasie czerniowieckiego gimnazyum I. matematykę i fizykę, pełni obowiązki nauczyciela od



Zamach na profesora w Czerniowcach: Prof. Filip Decker.

niedawna dopiero, poprzednio zaś był oficyałem pocztowym Przed kilku dniami otrzymał on z poczty pakiet, który mu się już z zewnętrznego wyglądu wydawał podejrzanym. Jako zawartość deklarowane były chemikalia, a jako nadawca figurowała na pakiecie firma: Rosenbaum i Ska, drogenerya w Czerniowcach. Prof. Decker zajął się ostrożnie odpakowaniem przesyłki pocztowej i ku swemu zdziwieniu przekonał się, że w pakiecie była t. zw. maszyna piekielna, na szczęście wadliwie skonstruowana, skutkiem czego eksplozya nie nastąpiła.

Profesor Decker zawiadomił o tem dyrekcyę policyi, która wdrożyła energiczne śledztwo. Ponieważ prof. Decker szykanuje uczniów bez litości, podejrzywa policya, że ma się w tym wypadku do czynienia z aktem osobistej zemsty. W tym też kierunku prowadzi ona śledztwo, w ciągu którego przesłuchiwano wielu uczniów najwyższych dwóch klas gimnazyalnych. Rezultat śledztwa jest dotychczas negatywny.

Charakterystycznem jest, że większa część uczniów wyraziła ubolewanie, że maszyna piekielna nie eksplodowała i że prof. Decker wyszedł cało z zamachu. Jednogłośnie też skarżyli się przesłuchiwani uczniowie, że prof. Decker sekował ich i prześladował na każdym kroku.

Dziwnem się wydaje, że prowadzeniem śledztwa w klasie nie zajmuje się dyrekcya gimnazyum, ale że sprawę tę odrazu oddano w ręce policyi.

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

4 Ciąg dalszy.

— Muszę istotnie wyrazić prawdziwe zdumienie, że pani pozwoliła odejść służącej właśnie w takiej chwili, gdy w domu mogła być tak potrzebną i to w porze dnia, gdy pokojowa najwięcej miewa zajęcia.

— Bardzo o to prosiła. Jest dobrą sługą, odmówić jej nie chciałam.

Komisarz podczas tego postąpił cicho i stanąwszy za plecami Sandtnerowej, odezwał się głośno:

— Czy pani była sama w buduarze?

Sandtnerowa, zaskoczona pytaniem, zadanem z nienacka, cofnęła się nagle, jakby przerażona i zwróciła się do pytającego.

— Czy pani sama była w buduarze? — powił komisarz pytanie i postawił stopę na owym przedmiocie, który przed chwilą Sandtnerowa pokryć usiłowała.

— Byłam sama w buduarze.

— Sama? — ponowił pytanie z naciskiem.

— Tak panie — odpowiedziała Sandtnerowa z wysiłkiem energii.

— A o której godzinie była pani w pracowni męża?

Zmięszała się na chwilę, nie zdobyła się od razu na odpowiedź. Domyśliła się, skąd to pytanie, więc zebrawszy siły, opanowała się i spokojnie odpowiedziała:

— Jakoś około dziewiątej.

— Więc zapewne wtedy zgubiłaś pani ten guzik — rzekł komisarz i podniósłszy go z posadzki, wpatrywał się bystro w jej twarz, znowu pomięszaną.

— Niezawodnie wtedy, tak, to guzik od mojego rannego ubrania.

Haller przypatrywał się guzikowi uważnie. Miał on niezwykły kształt regularnego pięcioboku. Czarny, z ciężkiego materyału, lśniący. Oryginalnością swą zaciekawiał. Wręczając go Sandtnerowej, rzekł komisarz z naciskiem:

— Nie rozumiem, dlaczego pragnęłaś pani zatrzeć ślad swej bytności w pokoju... męża. Chyba, że się pani pomyliła co do godziny i...

— Kobieta, nawet w pokoju męża nie chce zostawiać dowodów, że toaleta jej mogła być narażoną na uszkodzenie — odpowiedziała Sandtnerowa z wymuszonym spokojem. Może pan jeszcze chce o co pytać?

— Dziękuję pani, już wiem wszystko, czego się dowiedzieć pragnąłem — rzekł komisarz od niechcenia.

— A pan?

— I ja dziękuję pani — odpowiedział sędzia.

Sandtnerowa wyszła i zamknęła drzwi za sobą.

— Co pan myśli o tym guziku?

— I wiele i nic.

— Przecież.

— Potem.

— Ależ...

— Jeżeli jej guzik, to nic nie myślę, ale może to kogoś innego, kogoś takiego, którego ta pani zdradzić się lęka. Na widok własnego nie doznałaby takiego przerażenia, jakie u niej spostrzegłem.

— A więc?...

— A więc wyjdę przez okno, bo tam może znajdę ślady właściciela guzika.

— Czekam na pana przy sekcyi.

— Przyjdę.

— Do widzenia.

Haller wyskoczył przez okno, Moran zarządził przewiezienie zwłok do gmachu medycyny sądowej.

V.

Ozłocił miasto słoneczny, jasny, pogodny dzień letni. Turkusowe sklepienia niebios sypały wesołe blaski na ziemię. Niejedna smutna, rozpaczliwa myśl człowiecza, uciekła przed tą wesołą jasnością, niejedna łza ludzka zatrzymała się w głębi, nie mając ochoty spływać na twarze, które się uśmiechom w niewolę oddawały.

W sali sekcyjnej, na marmurowym stole, leżą zwłoki Sandtnera, białą pokryte oponą. Cisza tu, spokój, tylko zbłąkany ptaszek uderzy zewnątrz skrzydłem w szyby okienne, tylko z oddali dojdzie niekiedy echo miejskiego gwaru. Trup-niemowa, trup kłoda, a jednak z marmurowego stołu wołać się zdaje głośno, jak znikome życie człowieka.

Drzwi się rozwarły. Weszła komisya sądowa. Komisarz Haller, sędzia Moran, lekarz sądowy dr. Kraner, jego asystent, protokolant i służba kliniczna. Rozpoczęło się owo krajanie, zwane sekcyą, przykre, nawet straszne, może od śmierci gorsze.

— Morderca działał pod wpływem niezwykłego uniesienia — rzekł dr. Kraner. Uderzyć musiał gwałtownie, ręką nader silną. Cios był tylko jeden, ale miażdżący od razu. Morderca musiał być niezwykle silny.

— A więc pewnie nie Costa — rzekł komisarz.

— W uniesieniu miewa człowiek siłę niezwykłą — odpowiedział sędzia.

— Nie, nie, to niemożliwe. Radziłbym panu nie upierać się przy swojem podejrzeniu. Uprzedzenie i nic więcej. Przepatrzyłem ogródek i ogród przyległy. Ślady wyraźne i najmniejszej nie ulega wątpliwości, że rabuś wyskoczył przez okno.

— W takim razie musiałoby się przypuszczać zamiar rabunku, a tego niema śladu.

— Może zbrodniarz chciał go dokonać, ale spłoszył się i znikł, usłyszawszy kroki wchodzącego Costy. Ale ja i rabunku sobie nie wyobrażam, bo ów guzik, na posadzce znaleziony, mówi co innego.

— Czybyś pan posądzał żonę?

— Tak panie sędzio.

— Ależ to niepodobna, skoro cios zadany tak silną ręką — rzekł sędzia.

— Nie myślę, aby ona dopuściła się zabójstwa, ale że zna sprawcę, że go chce osłonić, to pewne. Dlaczego na widok owego guzika tak się pomięszała, nawet przeraziła? Dlaczego usiłowała go ukryć i przydeptała go nogą? Gdyby to był guzik jej własny, nie byłaby potrzebowała ani się przerażać, ani go ukrywać. To guzik jej znany, to guzik z ubrania mordercy.

— Co za przypuszczenia? Przecież powiedziała, że to z jej rannego ubrania.

— A, właśnie że nie. Odszukałem krawczynię Sandtnerowej, rozpytałem się należycie. Obejrzałem wszelkie rodzaje guzików, jakich używała do sukien, Sandtnerowej dostarczonych, ale ani takiego, ani podobnego nie było.

— Szczególne!

— A tak, to szczególne, tem bardziej, że nagle znikła pokojowa, Zofia Strobel.

— Tyle spokoju w tej pięknej kobiecie, tyle wdzięku, a zarazem majestatycznej powagi, iż niepodobna sobie wyobrazić, aby do udziału w zbrodni nakłonić się dała. I cóżby ją mogło skłonić do pomagania w zgładzeniu męża, który jej dostarczał środków do życia wygodnego, zbytkownego?

— Czy nie mógłbym zobaczyć tej kobiety? — wtrącił dr. Kraner.

— I owszem — odpowiedział sędzia. I ona i siostrzenica wezwane tu zostały dla urzędowego stwierdzenia, że to zwłoki Sandtnera. Czy pan doktor już skończył?

— Już jestem gotów.

— To możemy wezwać obie kobiety.

Pokryto zwłoki białą oponą, obmyto zmiażdżoną czaszkę. Weszła Sandtnerowa i Ella Gerlach. Pani Marya była spokojna, zapatrzona w dal, jak człowiek ciężkim smutkiem przytłoczony, Ella miała czerwone oczy od łez, szła drżąca, niespokojna, lękliwa.

— Poprosiłem panie — rzekł sędzia — abyście zechciały stwierdzić, że to są zwłoki zamordowanego w swem mieszkaniu Roberta Sandtnera. Czy pani to stwierdza?

Sandtnerowa spojrzała na męża okiem łzawem, spokojnem, bez trwogi, bez drżenia i rzekła smutno:

— To on!

Natomiast Ella trzęsła się, odwracała i z największym tylko wysiłkiem zdołała do stołu się zbliżyć, na zwłoki spojrzeć i wyrzec:

— To on!

Dr. Kraner rzekł do komisarza niby z cicha, ale tak, aby go obie kobiety słyszały:

— A więc każesz pan zaraz uwięzić mordercę?

Komisarz domyślił się, w jakim celu to pytanie zadał mu doktór, więc odpowiedział głosem stanowczym:

— Sandtnerowa słuchała tego ze spokojem, natomiast Ella krzyknęła z przerażenia i padła nieprzytomna na posadzkę.

Takiego wyniku nie spodziewał się Haller. Mozolnie zbudowany gmach przypuszczeń, poszlak, runął od razu.

VI.

Komisarz Haller rozparł się w fotelu przed biurkiem, oczy jego patrzą w dal, zamyślone. Dlaczego Ella zemdlała? Dlaczego ją tak przeraziła wiadomość, że zbrodniarz ma być uwięziony? Czyżby sędzia domyślał się słusznie, że Costa zbrodni dokonał? A może było to tylko zwykłe wstrząśnienie młodego dziewczęcia, nieprzywykłego do takich tragedyj życia? Natomiast ów czarny guzik! Nie jest własnością Sandtnerowej, nie znaleziono podobnego w ubraniach Sandtnera, a więc musi należeć do kogoś obcego. Któż jest tym obcym? Oczywiście jakiś człowiek, którego Sandtnerowa zna i zdradzić nie chce. Tego człowieka musiała widzieć pokojówka i dlatego ją usunięto. Zofię Strobel trzeba koniecznie wyszukać, a to czemprędzej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

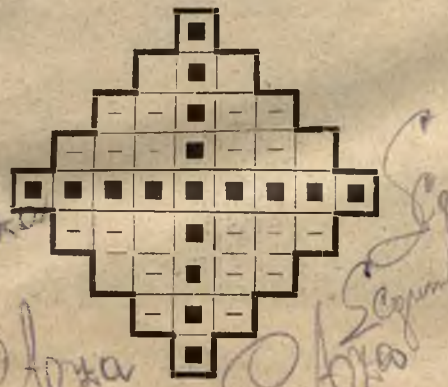
Ułożył S. Mrówka w Ostróżca.

Hen, pod lasem strumyk błyska...
Wkoło ciebie barwne kwiecie,
A nad głową chmur igrzyska...
Patrz, jak piękne *drugie trzecie!*
Kiedy róża wonią nęci,
Słowik pieśń miłości dzwoni,
Ponad ziemia w czasu toni
Trzecie pierwsze tryumf święci.
Do *całego* dumnej głowy
Wiejskiej chaty dymu wstęga
Choć się wspina nie dosięga,
Gdy ją spycha wiatr majowy.

Logogryf.

Ułożył Franciszek Szałajko z Birczy.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, ażeby litery środkowe czytane w poziomym i pionowym kierunku dały znane przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółełoska 2. Płaz. 3. Dawna moneta. 4 Materya jedwabna. 5. ? 6 Miasto gubernialne w Rosyi. 7. Rzeka w Austryi. 8. Nazwisko przeciwnika Lutra. 9. Samogłoska.

Za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dramat St. Wyspiańskiego »Sędziowie«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 12.

Szarada I.

Sledzie marynowane.

Szarada II.

Bartłomiej.

Logogryf.

Wyrwicz Karol.

Zagadka.

Aleksander Głowacki, Faraon, Pałac i rudera.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: L. Frindt Warszawa, W. Czeppe Tarnobrzeg, M. Grodzicka Dębniki, W Rakiewicz Częstochowa, A. Rotter Stanisławów, W. Masiuk Dębniki, Z. Gandnik Stary Sącz, L. Złochowski Zaleszczyki, F Świetnicka, J. Garbień S ryj, A. Kleiber Izdebnik. R. Jaworski Kraków, E. Wieczorkowa Kraków. O Górkowa Chyrów, K. Fuchs Czeremchów, M. Stachowicz Kraków. F. Kośmider Nowy Sącz, W. i J Limanowskie Kraków, B. Mieczkowski Kraków, H. Chodkiewiczowa, A Szymański Rawa, M. Lisowska Papiernia, I Wielgus Wadowice, Z. de Boulangé Gawłówek, A. Mussil Lwów, F Niepokój Krosno, Podobińscy Rawa Ruska, I. Łukasiewiczowie Mosty Wielkie, M. Arbesbauer Lwów, K. Michalczewska Złoczów, A Bocsoń Bóbrka, W. Laskowski Warszawa. S Kiersnowski Kopyś, Kosińska Brzesko, E. Bogdalska K ropuż, I Strycharzewski Chrzanówka, M Rożański Libusza. A Kudła Tapin, J. Badura Rożdzień, K Jasiński Kraków, M. Kuzla Wadowice, M. Karasińska Wadowice, J Schmidtówna Limanowa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. R Jaworski Kraków. Prosimy o przysłanie 35 h. na koszta przesyłki, albo o zgłoszenie się po odbiór nagrody.

Głosy publiczne.

C. k. Dyrekcya Kolei Państwowych w Krakowie komunikuje: Z dniem 1 maja 1908 r. zmienia się dotychczasową nazwę stacyi **Słotwina,** położonej na szlaku Kraków-Rzeszów na **»Słotwina-Brzesko«,** a dotychczasowa nazwę stacyi **Rudnik,** położonej na szlaku Dębica-Rozwadów-Przeworsk na **»Rudnik nad Sanem«.**

Ważne doniesienie dla muzyków. Pan Franciszek Niewczyk we Lwowie, zaszczytnie znany w całej Polsce fabrykant wszelkich instrumentow muzycznych, smyczkowych i dętych, przeniósł swoją fabrykę i magazyn z ul. Czarnieckiego do nowo wybudowanego gmachu Gal. Towarzystwa Muzycznego we Lwowie Chorążczyzna 7., którą to firmę naszym Czytelnikom gorąco polecamy, zwracajac uwage na ogłoszenie tejże. Nowo wydany illustrowany cennik Franciszka Niewczyka jest najlepszym dowodem rozwoju polskiego przemysłu w dziedzinie fabrykacyi instrumentów muzycznych, nie mamy więc potrzeby wspierać niemieckie wyroby, jeżeli polska fabryka jest w możności taniej pod względem ceny towar znacznie lepszy nam dostarczyć.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).